

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

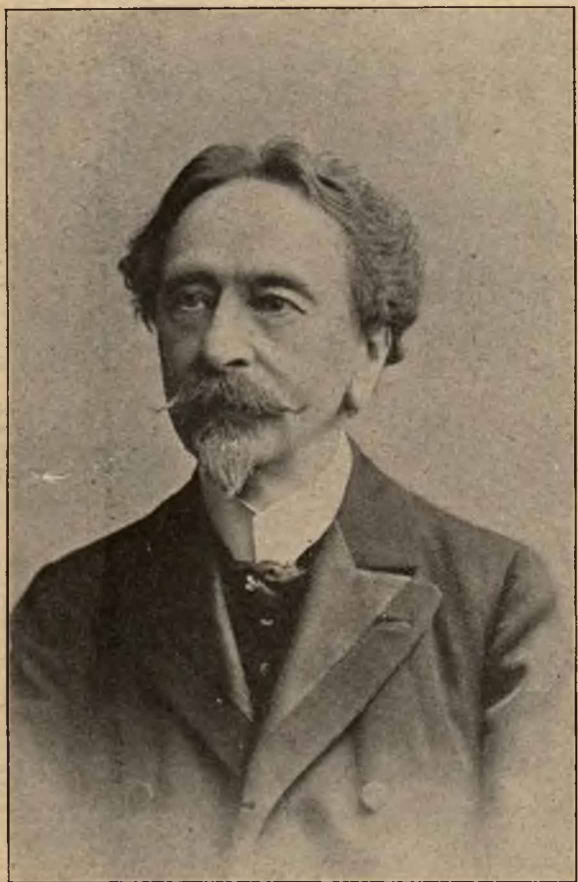
Rok V. **Kraków, 7 marca 1908.** **Nr. 10.**

Lwowska sielanka wyborcza. (Treść na str. 2).



Dostojny gość na klinice krakowskiej.

Przed paru dniami bawił w Krakowie arcyksiąże Karol Stefan z Żywca, aby zasięgnąć porady znakomitego naszego profesora i chirurga,



Zmiana w krajowej Radzie szkolnej: Dr. Edwin Płażek.

dr. Bronisława Kadera. Przy tej sposobności zwiedził dostojny gość w towarzystwie ks. Franciszka Radziwiłła całą klinikę chirurgiczną i był obecnym przy operacyi, dokonanej przez profesora Kadera.

Operacya ta odbyła się w sali operacyjnej kliniki. Prof. Kader, otoczony asystentami i swymi uczniami, dokonał wycięcia śledziony i wyrostka robaczkowego u jednej z pacyentek. Operacya wypadła doskonale, a chora wnet potem mogła odpowiadać swobodnie na pytania, z jakiemi do niej zwrócił się arcyksiąże Karol Stefan. Oświadczyła ona między innemi, że bólu zupełnie nie czuła, dzięki uśpieniu, do którego prof. Kader zastosował najnowszą metodę, przewyższającą wszystkie poprzednie. Szybkość i zręczność, z jaką prof. Kader cały zabieg przeprowadził, wzbudziła prawdziwy podziw arcyksięcia, to też nie szczędził on słów uznania znakomitemu chirurgowi.

Zwiedził następnie dostojny gość klinikę chirurgiczną, oraz kliniki okulistyczną i psychiatryczną, oprowadzony przez prof. Kadera. Arcyksiążę zwrócił uwagę na to, że ze strony władz uniwersyteckich i dyrekcyi klinik zrobiono wszystko, aby postawić je na odpowiednim poziomie, że jednak są jeszcze braki, spowodowane wyłącznie niedostateczną dotacyą ze strony rządu. Przyrzekł też, że gdy nastąpi rozszerzenie kliniki chirurgicznej, ofiaruje na jej rzecz cztery urządzenia kąpielowe i odpowiednią ilość urządzeń ustępowych.

Zasięgnięcie porady ze strony arcyksięcia Karola Stefana u naszego profesora, jest niewątpliwie poważnym zaszczytem dla krakowskiego uniwersytetu i dowodem, jak znakomite siły profesorskie uniwersytet ten posiada. Dotychczas zwykł arcyksiąże zasięgać porady lekarskiej zagranicą.

Zmiana w krajowej Radzie szkolnej.

Bardzo doniosła zmiana nastąpi w najbliższych dniach w łonie galicyjskiej Rady szkolnej krajowej, najwyższej autonomicznej magistratury naszego szkolnictwa. Oto szef jej, wiceprezydent dr. Edwin Płażek, ustępuje z tego stanowiska i przechodzi w stan spoczynku, a miejsce jego zajmuje dr. Ignacy Dembowski, dotychczasowy radca dworu przy radzie szkolnej krajowej.

Ustępującego szefa naszego szkolnictwa, wiceprezydenta Płażka, żegna całe społeczeństwo, a szczególniej nauczycielstwo ludowe, z szczerym, serdecznym żalem. Objąwszy rządy po dr. Michale Bobrzyńskim — który w ciągu swej dziesięcioletniej działalności trzymał nauczycielstwo w karbach niemal żelaznej dyscypliny i stąd nie cieszył się wcale popularnością — zainaugurował w radzie szkolnej krajowej nową erę, zdobywając sobie ogólne poszanowanie i miłość. Za jego rządów i głównie dzięki jego poparciu przeprowadził Sejm jaką taką regulacyę płac nauczycielskich, za jego rządów nastąpiła reorganizacya ustroju rady szkolnej krajowej w duchu bardziej autonomicznym. Odetchnęło też lżej nauczycielstwo ludowe, doczekawszy się nietylko podwyżki płac, ale i uznania swych praw obywatelskich. Z powodu podeszłego wieku ustępuje dr. E. Płażek z ciężkiego posterunku, oddając rządy jednemu z młodszych dygnitarzy, dr. Ignacemu Dembowskiemu.

O nominacyi radcy dworu Dembowskiego na miejsce dr. Płażka już dawno mówiono, a ogłoszenie jej znalazło bardzo sympatyczny oddźwięk. Pracując od wielu lat w radzie szkolnej krajowej, ostatnio jako zastępca wiceprezydenta Płażka, dał się poznać jako energiczny i sprężysty urzędnik i znawca potrzeb tego szkolnictwa. Wybitnych zdolności, w obejściu nadzwyczaj uprzejmy i uczynny, połączyć potrafi potrzebną na kierowniczem stanowisku energię z wyrozumiałością i zapewnić radzie szkolnej krajowej taką powagę, jaka jej się słusznie należy.

Lwowska sielanka wyborcza.

(Do illustracyi tytułowej.)

Dawno nie było we Lwowie tak namiętnej, tak wprost zajadłej walki przedwyborczej, jak



Zmiana w krajowej Radzie szkolnej: Dr. Ignacy Dembowski.

przy tegorocznych wyborach sejmowych. Kiedy Kraków i inne miasta galicyjskie przygotowywały się dopiero do akcyi wyborczej, kiedy poszczególne stronnictwa obradowały nad ustaleniem kandydatur, Lwów miał w tym czasie już dwa razy tylu kandydatów, ile mandatów do dyspozycyi,



Dostojny gość na klinice krakowskiej: Arcyksiążę Karol Stefan w mundurze admiralskim, opuszcza gmach kliniki, żegnany przez prof. dr. Kadera.

i miał już szeroko rozwiniętą agitacyę. W agitacyi tej podzieliło się miasto na dwa obozy. Z jednej strony „endecy“, t. j. zwolennicy programu stronnictwa demokratyczno-narodowego, grupujący się około „Słowa polskiego“, z drugiej nie-endecy, a więc wszystkie inne stronnictwa polityczne i ich organa, od konserwatywnej „Gazety Narodowej“ do socyalistycznego „Głosu“.



Dostojny gość na klinice krakowskiej: Arcyksiąże Karol Stefan (1) i ks. Dominik Radziwiłł (2) w sali operacyjnej, podczas operacyi prof. dr Kadera (X).

Przyczyną tej koalicyi stronnictw antiendeckich na gruncie lwowskim było to, iż narodowi demokraci postawili na sześć mandatów lwowskich aż czteru swoich kandydatów, pozostawiając dla wszystkich innych stronnictw tylko jeden, szósty bowiem, wedle tradycyi, przeznaczony był z góry dla reprezentanta ludności żydowskiej.

Walka wyborcza, choć odrazu ostra i stanowcza, toczyła się początkowo poważnie. W ostatnim jednak tygodniu zamieniła się w rozpasanie, polemika na łamach dzienników przybrała formy pamfletów, dyskusye na zgromadzeniach zamieniały się w burdy, a parokrotnie przyszło nawet do krwawych bójek. Z obu stron padały ciężkie zarzuty, przeważnie osobistej natury, obrzucano się nawzajem stekiem obelg, oszczerstw i brzydkich insynuacyi.

Koroną zaś tego rozwydrzenia przedwyborczego były wspomniane zgromadzenia publiczne, gdzie argumenty i dyskusyę zastąpiły kije i pałki. Na jednem z takich zgromadzeń, w sali szkoły imienia Sobieskiego, zjawiła się w czasie przemówienia dr. Greka, kandydata stronnictwa ludowego, garstka młodzieży demokratyczno-narodowej i poczęła hałasować. Toż samo było, gdy przemawiał drugi kandydat, zwalczający narodową demokracyę, dr. Rutowski. Mowca poddał krytyce program wszechpolski, co wywołało jeszcze głośniejsze protesty, kiedy zaś podczas tego zajścia na salę weszli robotnicy, młodzieńcy wszechpolscy rozpoczęli bójkę, przyczem popłynęło sporo krwi. Zajścia te wywołały powszechne oburzenie w mieście.

Skon sędziwego pastora w Warszawie.

W ubiegłym tygodniu zmarł w Warszawie superintendent kościołów ewangelicko reformowanych w Królestwie Polskiem i pastor zboru warszawskiego, August Karol Diehl. Był on rodem z Warszawy (1837), tam też ukończył gimnazyum, poczem poświęcił się teologii na uniwersytecie w Dorpacie. Zmarły pastor cieszył się w Warszawie ogólnym mirem, jako dobry obywatel kraju, jako szczery patryota i dzielny syn narodu. Cechowała go nadto wielka dobroczynność i serce tkliwe na cudzą nędzę. To też wiele w swem życiu zdziałał dla jej złagodzenia, jako członek i organizator instytucyi humanitarnych. Był w nich cichym oddanym sprawie pracownikiem, tak iż tylko najbliższe mu koła o jego zasługach na tem polu wiedziały.

Pastor Diehl pracował też na polu literacko-



Skon sędziwego pastora w Warszawie: August Karol Diehl.



Fot. K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.

Posłowie w Carskiem Siole: Odjazd członków deputacyi powozami z dworca do pałacu



Fot K. Bulla & A. Drankow, Petersburg.

Posłowie w Carskiem Siole: Uczestnicy deputacyi trzeciej Dumy, po audyencyi u cesarza, na dworcu kolejowym.

naukowem, a z rzeczy jego, ogłoszonych drukiem, na szczególną uwagę zasługują: „Historya biblijna dla młodzieży ewangelickiej“, „Wiadomości kościelne ze zboru ewangelicko-reformowanego“, życiorys ks. J. Spleczyńskiego, historya polskiej hymnologii ewangelickiej i w i.



Fot. M. Münz, Lwów.
Ideowa kandydatura: Marya Dulębianka.

Wiadomość o jego skonie dotknęła w pierwszej linii współwyznawców, ale i liczne grono przyjaciół, którzy cenili w pastorze Diehlu otwartość charakteru i liczne zalety duszy.

Posłowie w Carskiem Siole.

Jednem z najwybitniejszych dzieł, dokonanych przez Dumę w ciągu jej kilkumiesięcznego istnienia, jest uchwalenie rezolucyi, potępiającej terror, jaki od lat kilku szerzy się w całej Rosyi. W nagrodę za czyn ten, którego rząd napróżno domagał się od drugiej Dumy, wskutek też czego została ona rozwiązaną, członkowie trzeciej Dumy zostali przyjęci przez cesarza na specyalnej audyencyi w Carskiem Siole.

Osobnym pociągiem udali się posłowie z Petersburga do Carskiego Sioła, a tam powozami dworskimi przybyli popołudniu do pałacu cesarskiego. Cesarz pojawił się w sali przyjęć w towarzystwie ministra dworu i świty, a po powitalnych okrzykach „hurra“ wygłosił mowę, w której najznamienniejszym ustępem było zapewnienie, że „jakiekolwiek naruszenie praw własności nie uzyska nigdy sankcyi“. Następnie na salę weszła cesarzowa z następcą tronu, powitana także okrzykami „hurra“, poczem cesarz z następcą tronu na rękach przeszedł szeregi posłów, rozmawiając z niektórymi z nich. Po skończeniu audyencyi podano posłom śniadanie, na którem spełniono liczne toasty za pomyślność rodziny cesarskiej. W Petersburgu, po powrocie z audyencyi, udali się posłowie gremialnie do soboru kazańskiego, celem wysłuchania dziękczynnego nabożeństwa.

Ideowa kandydatura.

O ile cała akcya przedwyborcza we Lwowie miała przebieg niesympatyczny, wprost brzydki i poniżający ten doniosły akt, o tyle pięknym jej momentem było postawienie kandydatury kobiecej. Była to kandydatura ze wszech miar ideowa, nietylko ze względu na zasadę, ale i ze względu na osobę kandydatki.

Kandydatką tą była p. Marya Dulębianka, znana zaszczytnie artystka-malarka i działaczka społeczna, zasłużona na wielu polach pracy publicznej. Szeroko i wszechstronnie wykształcona, spędziła znaczną część swego pracowitego życia po za granicami kraju ojczystego. A wszędzie znajdowała pole do działalności w duchu swych ideałów, czy to w Szwajcaryi, czy w Paryżu, czy we Włoszech, lub w Wiedniu. Pełna energii i zawsze czynna, przejęta ideałami nawskróś etycznymi, szczera demokratka — cieszyła się nietylko w kole bliższych znajomych, ale wśród szerokich sfer dużą popularnością i sympatyami.

Wyrazem tego i dowodem było postawienie jej kandydatury do sejmu z miasta Lwowa. A choć wybory nie przyniosły jej mandatu, co z góry było wykluczone, zwłaszcza wobec namiętnej walki wyborczej, to przecież sam fakt postawienia kandydatury kobiecej, był doniosłym krokiem naprzód w sprawie równouprawnienia kobiet.

Niezwykły związek małżeński.

W Londynie odbył się niedawno ślub siostry b. generała burskiego, a obecnie prezydenta gabinetu transvaalskiego, Maryi Botha, z sekretarzem liberalnego angielskiego „Eigthy Club“, Hawkinem. Związek ten ze względu na narodowość obojga państwa młodych ma wysoce polityczne znaczenie, świadczy bowiem o pojednaniu Boerów z Anglikami, choć niedawno jeszcze toczyli ze sobą zacięte walki.

Te dobre stosunki, jakie zapanowały pomiędzy poprzednimi nieprzyjaciółmi, zawdzięczać należy rządowi angielskiemu, kierującemu się w swej polityce kolonialnej rozumem a nie gwałtem. Zamiast pobitych gnębić podatkami i postojami znacznych oddziałów wojsk, Anglia nadała im najzupełniejszą autonomię i zyskała przez to nowych a dzielnych obywateli.

Ustąpienie zasłużonego urzędnika.

Dnia 29 lutego b. r., żegnali urzędnicy i funkcyonaryusze oddziału rachunkowego w wydziale krajowym swego wicedyrektora p. Władysława Marcinkowskiego, który wskutek nadwerężonego



Niezwykły związek małżeński: Sekretarz Hawkin i Marya Botha.

zdrowia przeszedł w stały stan spoczynku. Wydział krajowy niechętnie pensyonował p. Marcinkowskiego, mrówcza praca jednak przez 30 lat, której p. Marcinkowski poświęcał całą swą siłę i szeroką wiedzę, podkopała tak dalece jego zdrowie, że dalsze urzędowanie było dlań niemożliwe; to też wydział krajowy wyraził mu zupełne uznanie za długoletnią, bardzo gorliwą, pożyteczną i pod każdym względem wzorową służbę. W obecności całego zebranego personalu oddziału rachunkowego przemówił dyrektor Krobicki, wręczając ustępującemu urzędnikowi wspaniale oprawiony adres, podpisany przez wszystkich funkcyonaryuszów oddziału rachunkowego w liczbie 105.

Adres ten zawierał wyrazy szczerego i serdecznego żalu z powodu ustąpienia p. Marcinkowskiego. Podwładni widzieli w nim bowiem niedościgniony wzór urzędnika-obywatela, nadzwyczaj wyrozumiałego przełożonego, serdecznego i prawdziwego przyjaciela-kolegę.



Ustąpienie zasłużonego urzędnika: Władysław Marcinkowski.

Wzruszony objawami sympatyi podziękował p. Marcinkowski zebranym kolegom i towarzyszom pracy, zapewniając o przyjaźni swej i wdzięczności, którą na zawsze zachowa.



Ideowa kandydatura: Kobiety, agitujące po ulicach Lwowa za kandydaturą Maryi Dulębianki.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

16

Czekała wrażenia, ale mąż nawet nie spojrzał i słuchał obojętnie. To ją rozgniewało i mówiła niezadowolona:

— Dlaczego milczysz?... Masz dosyć czasu na jedzenie.

— A czy to ja warzę? Czy pilnuję garczków? — uśmiechnął się — to twoja rzecz.

— Oj, mam ja też męża — jęknęła — opamiętaj się przecież... Jeśli weźmiemy ją na stołowniczkę, a będzie jej dobrze i smaczno, to inspektor, a za nim naczelnik powiedzą, że nam za dobrze, że żyjemy po pańsku.

— Hm... niby to tak.

— Nareszcie zrozumiałeś... Słuchaj dalej i miarkuj... Jeśli będzie jej źle u nas, poskarży się ta kochanica inspektorowi, a ten powie, że umyślnie to zrobiliśmy, bo my porządne małżeństwo, a ona byle jaka dziewczyna... no i możesz stracić obowiązek... Rozumiesz?

Portyer odłożył nóż i widelec, otworzył usta, wreszcie rzekł z uznaniem:

— Ho, ho, ty mądrze kalkulujesz.

— Bo też nie wychowałam się za piecem — powiedziała z odcieniem dumy — i wszystko rozważam dobrze.

— Toś jej odmówiła? — spytał, zabierając się do jedzenia.

— Dobry z ciebie chłop, ale rozumu ani krzty — wzruszyła lekceważąco ramionami — jakże mogłam odmówić prosto z mostu... trzeba politykować, bo nuż przeskarży...

— Cóż zrobiłaś?

— Powiedziałam, że muszę naradzić się z tobą.

— Ze mną? — zdziwił się — to siebie chcesz zasłonić, a mnie narazić?

— Ot głowa! — uśmiechnęła się — chciałam zyskać na czasie i powiedzieć tobie, że gdyby się kto spytał, dlaczego nie stołujemy, to powiedz, że u nas za biedno, że przy trojgu dzieciach nie mogę podjąć się gotowania osobnego obiadu. Czy rozumiesz?

— No tak... ale co zrobisz?

— Hm... już ja obmyśliłam... Pójdę do żony pomocnika magazyniera, do tej kokietki malowanej, one się pogodzą, bo swój swego znajdzie — zaśmiała się szyderczo.

Portyer spojrzał na zegarek i rzekł wstając od stołu:

— Na mnie już czas... a ty zrób swoje, bylem nie miał kłopotu.

— Nie pleć — upomniała dość surowo — a pamiętaj nikomu nie mów, że ona chciała u nas się stołować, chyba że ktoś spyta.

— Dobrze, dobrze — odmruknął, nałożył czapkę z galonem i wyszedł.

Portyerowa zajrzawszy do bawiących się dzieci, skierowała się do mieszkania Janiny. Zastała ją siedzącą przy stole jasno oświetlonym lampą i studyującą nazwy stacyj różnych.

— A, to pani — rzekła do wchodzącej — proszę, siadaj pani. Cóż uradziliście z mężem?

Portyerowa usiadła, złożyła ręce na podołku i po chwili rzekła:

— To, proszę pani kasyerki jest taki interes... Ja mam troje dzieci i męża w służbie, trzeba wszystkich oprać, dopilnować... i chociaż radabym stołować panią, bo grosz każdemu miły, ale Bóg mi świadkiem, że czasu nie mam. Dobrze jeszcze, że mi sił starczy dla swoich — westchnęła głęboko.

— Zatem odmawiacie? — spytała głosem rozczarowania.

— Ale co znów? — przerwała żywo portyerowa — przecież to niemały honor dla nas, że pani kasyerka stołowałaby się u nas, ale nie mogę, bo czasu mi nie starczy.

— Hm... to źle — powiedziała chmurna Janina — bo w restauracyi nie chcę, a gdzieś za stacyą bardzo niewygodnie.

— Ja tu znam jedną — mówiła portyerowa, zniżając głos — ma tylko jedną córkę pięcioletnią, możeby ona stołowała panią.

— Kto taki? Gdzie? — spytała z ożywieniem Janina.

— Żona pomocnika magazyniera, Zgierska... ta może, nawet ma służącą... jeśli pani chce, pójdę do niej, na pierwsze piętro i pogadam z nią.

— Dziękuję pani... a może wypada, ażebym sama poszła do niej.

— Ej, nie... Pani przecież kasyerka, zechce ona stołować, to już sama przyjdzie — wstała z krzesła.

Janina podała jej rękę, portyerowa chwilę się wahała, wreszcie szybko dotknęła ręki i wyszła, mówiąc na odchodnem:

— Zaraz ona tu będzie, to się pani umówi o cenę.

W jakiś czas weszła do pokoju blondynka, dosyć jeszcze ładna mimo lat trzydziestu kilku, w jasnej sukni z czerwoną bluzką i poprawiając włosy fryzowane, rzekła tonem pieszczotliwym:

— Portyerka mówiła mi, że pani poszukuje obiadów...

Janina wstała z krzesła i podając rękę, wymieniła swe nazwisko, prosząc, ażeby usiadła.

— O, u paniusi bardzo ładnie — rozglądała się po pokoju — nawet kwiaty... i ja kiedyś dostawałam bukiety, ale teraz... postarzałam się, zbrzydłam, to i po kwiatach... nikt nie pamięta o mnie.

— Ma pani przecież męża — uśmiechnęła się Janina.

— O, z męża wielka pociecha — zaśmiała się wzgardliwie — cały dzień za domem, a przyjdzie, to dawaj mu jeść. Pani szczęśliwa, bo jeszcze panna wolna, swobodna, a ja sobie świat zawiązałam przez to małżeństwo... Ach, żeby mnie pani znała dawniej, gdy byłam panną, po prostu nie mogłam się opędzić chłopcom, a dzisiaj — westchnęła.

— Ależ i teraz pani jest bardzo miła — zmusiła się Janina do banalnego komplementu.

— Co mi z tego — zrobiła lekceważący ruch ręką — czy jest tu z kim żyć, zabawić się... Wszystko to prostactwo, nie zna się na grzeczności... Ja z nikim tu nie żyję, jak na pustyni, a skoro mi portyerka powiedziała, że pani ma do mnie interes, zaraz przybiegłam, ażeby zobaczyć kogoś ze świata, z miasta.

— Właśnie chciałam panią prosić, czy nie zechciałaby mnie pani stołować — mówiła Janina z pewną powściągliwością, gdyż ta Zgierska nie podobała się jej z powodu paplaniny.

— Bardzo chętnie... ale my skromnie żyjemy... mamy małą pensyę, a pani może wymagająca.

— Ależ nie... będę jadła to, co i państwo, nie jestem przyzwyczajona do wybrednego jedzenia.

— No, no, już w to ja nie uwierzę — uśmiechnęła się figlarnie — taka pani piękna, młoda, muszą za panią chłopcy szaleć... znam się na tem, bo i ja byłam młoda.

Janina namarszczyła czoło i rzekła tonem oschłym:

— Może pani zechce mi powiedzieć swe warunki. Chciałabym mieć śniadanie, obiad i kolacyę.

Zaczęły się targi, co dawać, ile czego, wreszcie zdecydowała się Zgierska na cenę, która Janinie wydała się zbyt niską, gdyż miała płacić dwadzieścia cztery koron na miesiąc, i spytała:

— Czy nie zamało pani liczy?

— To już mnie pani zostaw — zaśmiała się Zgierska — ja mam swój rachunek, bo to zawsze tak bywa, jak ty dobra, to i dla ciebie będą dobrzy... a ja kiedyś poproszę panią o kilka dobrych słów.

— Mnie? — zdziwiła się.

— Nie mówmy o tem, po co? na co? widzę, że pani nie jadła jeszcze kolacyi... zaraz przyślę — zerwała się z krzesła i ściskając rękę Janiny — pani pozwoli, że czasem wpadnę na chwilę, to prawdziwa przyjemność porozmawiać z osobą edukowaną.

Po jej wyjściu Janina odetchnęła swobodniej, nie zdawała sobie dokładnie sprawy, dlaczego ona jej się nie podobała, ale ogólne wrażenie było niemiłe.

Znów zaczęła przeglądać spis stacyj, ażeby dokładnie spamiętać.

Młoda, uśmiechnięta służąca Jagusia, może piętnastoletnia, wniosła kolacyę złożoną z herbaty, chleba, masła i kawałka zimnej pieczeni, mówiąc:

— Pani bardzo przeprasza, że sama nie przyszła, ale pan wrócił ze służby.

Janina uśmiechnęła się rada, że nie przyszła Zgierska, a zapytawszy o imię usługującej, powiedziała, ażeby przyszła za kwadrans po naczynie, gdyż jest senna.

Otóż to są kłamstwa towarzyskie, pomyślała z odcieniem żalu, zamiast powiedzieć, że mnie nudzi, udaję senność. Ludzie powinni względem siebie być szczerzy, otwarci, a to wykłamywanie się tylko ich poniża. Gdyby tak było, nie usłyszałaby dzisiaj tyle przykrych aluzyj, powiedzianoby jej szczerze zarzuty, ona obroniłaby się i wszystko byłoby w porządku.

Czy jednak wszystko? Czy mogłaby powiedzieć swe domysły, co do jej awansu? Czy uwierzonoby jej słowom?... Wpierw musi zapanować prawda na świecie, zniknąć obawa urażenia kogoś, narażenia się komuś, a to możliwe jest tylko wówczas, gdy człowiek jest niezależny i sam dobiera sobie towarzystwo. A ona jest bardzo zależna od wszystkich przełożonych, kolegów, od opinii ludzi.

Rozmyślanie nad sobą przyprawiło ją o smutek. Poczuła się osamotnioną i opuszczoną, zapewne tam w domu mówią o niej, wspominają, ale prócz nich nikt inny na świecie, niema przyjaciół, są tylko obojętni albo nieżyczliwi. A może Wapieński?... Uśmiechnęła się sceptycznie, ona dla niego jest conajwyżej nieudolną sympatyczką programu, który go w zupełności pochłania... Któż więcej prócz Wapieńskiego?... Nikt... Spojrzała na pokój swój i błyskawicznie stanęła przed nią postać inspektora Lerche, widziała oczy jego dobre, uśmiechnięte i ten ruch ręki, gdy polecił jej napisać prośbę o zapomogę. Poczuła pewną wdzięczność, ale tuż wezbrała i gorycz, bo przez niego dokuczają jej przycinkami o protekcyi... a to oskarżenie jej o zdradę... bądźcobądź ona musi się dowiedzieć, kto mu powiedział o pierwszem zebraniu.

Podeszła do okna. Las stał czarny, tajemniczy, lekko oświetlony zachodzącym księżycem, że tylko szczyty drzew lśniły się w słabych promieniach. A do pokoju płynęło ożywcze powietrze z łąk i lasu. Po chwili odezwał się słowik, drugi gdzieś w gęstwie mu odpowiedział i zaczął się istny koncert, przerywany zwoływaniem się przepiórek, skrzeczeniem żab, skrzekiem chruściela i nawoływaniem bąka. A słowiki śpiewały coraz namiętniej, coraz żałośniej, i z całej ziemi płynęła ku Janinie pieśń miłości, pieśń życia i roskoszy, że się jest, żyje, czuje...

Mimowolnie szukała Janina słów na określenie tego czaru przyrody, któremu ulegała, i bezwiednie przyszły jej na usta cudowne słowa Słowackiego ze "Szwajcaryi": „Odkąd zniknęłaś jak sen jaki złoty, umieram z żalu, usycham z tęsknoty...“

W tem ponad całą tę pieśń harmonijną natury zahuczała syrena fabryczna i w jednej chwili znikł urok chwili. Myśli jej poszły w kierunku biedy, nędzy, krzywdy robotników, o czem czytała tak dużo, tak wymownie i dosadnie...

Wzięła w rękę broszurę: „Związki zawodowe“, chciała się zmusić do czytania, ale pomiędzy nią a treścią książki stawały nieustannie wrażenia dnia dzisiejszego. Gdy wreszcie ułożyła się do snu, zdawało się jej, że wszystkie meble pokoju ruszają się, idą do niej, otaczają ją i każdy się pyta o przyczynę, dlaczego tu je ustawiono, dlaczego przeniesiono do jej pokoju z wielkich i jasnych sal, dlaczego oddano w jej służbę... aż zmęczona nagabywaniem usnęła.

XII.

Do kasy kolejowej wszedł pierwszy o godzinie ósmej pisarz w swem wytartem ubraniu, bladawy, z twarzą pomiętą i usiadłszy za stolikiem wyjął z bocznej kieszeni surduta drukowany wykaz liczb, wyciągniętych w ubiegłym roku na loteryi liczbowej. Otworzył na stronicy z nagłówkiem: Lwów, i kombinował półgłosem:

— Dwadzieścia trzy nie wyszło od trzech lat, a ośmdziesiąt sześć od dwóch... gdyby tak trzecią cyfrę dać trzydzieści dziewięć, bo pięć razy w roku była... anuż terno wyjdzie!

Oczy szare, zwykle bez blasku, zajaśniały a uśmiech szczęścia zabłysł na twarzy.

— Terno za dwie korony! — powiedział tak głośno, że strwożony obejrzał się.

— A może Wiedeń lepszy — i znów zaczął kombinować cyfry, i tak się ożywił, że wstał z krzesła i wyjrzał przez okno. Nie zauważył nawet, że do biura wszedł Jarkowski, kasyer pakunkowy, który cicho podszedł i zawołał:

— Panie Szyrec, cóż tam ciekawego?

Pisarz zmieszany szybko schował książeczkę drukowaną i wyjąkał po chwili:

— Taki ładny dzień, to i patrzę.

— Zebrało się panu na miłość — zaśmiał się szyderczo — pewno liścik od dziewczyny schował pan tak pospiesznie... no, no, będzie weselisko.

— Ależ nie... wcale nie... panie kasyerze, to nie list — bronił się nieśmiało.

W tej chwili wszedł Ostecki, kasyer osobowy, przystojny brunet, lat dwudziestu ośmiu. Spojrzał

ciemnemi, dość ładnemi, lecz bez wyrazu oczyma, i podkręcając czarny wąsik, rzekł z progu:

— Cóż za wesoła rozmowa? — zwrócił się do Jarkowskiego.

— Alboż nie wiesz, Szyrec się żeni, już liściki od panny otrzymuje...

— No, ciekaw jestem, która się złakomiła — uśmiechnął się wzgardliwie.

— Bo to wiesz, pan Szyrec ma pieniążki — drwił Jarkowski.

— To widać po ubraniu — zaśmiał się Ostecki, poprawiając swój tużurek.

— Ot drwijcie panowie, ani się nie żenię, ani pieniędzy nie posiadam — odezwał się cicho Szyrec.

— Więc gdzie idzie pensya pana — zaczął Jarkowski — mieszka pan w izdebce podłej, nie pije pan, nie dojada, zatem są oszczędności.

— A może traci na kobietki — śmiał się głośno Ostecki, a po chwili spytał: — czy ta kasyerka ładna? bo mi opowiadano cuda.

— Nie wiem jak komu — wzruszył ramionami Jarkowski — twarzyczka niczego, ale ja nie lubię takich wiotkich, człowiek bałby się co przetrącić — uśmiechnął się.

— No, zobaczę ją — wyjął lusterko, przejrzał się, musnął wąsy, poprawił jasno zieloną krawatkę.

— Nie kuś się, tam jest już Lerche, nic nie wskórasz — uśmiechnął się zjadliwie — bo chociaż ty młody, ale on ma pieniądze i wpływy, i ani się opatrzysz, jak wylecisz.

— Ho, ho, nie taki ja skory do zastraszenia, jeśli mi się ona spodoba... to przypnę mu rogi.

— I sam się natkniesz — dorzucił Jarkowski.

W tej chwili weszła Janina, pozdrawiając obecnych. Ostecki ze swym najpiękniejszym uśmiechem skłonił się i przedstawił, ściskając zadługo podaną rękę. Cofnęła mu ją, mówiąc z pewną nieśmiałością:

— Przyszłam na praktyczną naukę.

— Bardzo dobrze... cóż wie pani z kasowości? — otworzył swój ternion — w jakim porządku idą bilety? umie pani?

Janina szybko i bez omyłki zaczęła cytować stacye i pokazywać przegródki z biletami, czem nie mało zdziwiła obu kasyerów.

— Ależ to bardzo dobrze... mogłaby pani nawet sprzedawać bilety — mówił Ostecki uprzejmie — no, a z książkami?

— To trochę gorzej — rzekła pewniejszym głosem, bo ucieszyło ją uznanie — ale wiem, że w „journalu“ zestawia się codzienną sprzedaż, że w książce „Verwendungs Vormerk“ wpisuje się numery biletów, a pokwitowanie z pieniędzy zaznacza się w „Abfuhrsbuchu“.

— No, no, ale z pani pojętna uczenica.. bo ten Izydor nieszczególny nauczyciel — uśmiechnął się.

— Nauczył mnie jednak...

— Postaram się być lepszym nauczycielem — spojrzał w jej oczy zalotnie – niech pani spocznie, bo otwieram kasę.

Sprzedaż skończyła się wkrótce, gdyż podróżnych nie było zbyt wiele i Ostecki zaczął z wielką uprzejmością wtajemniczać Janinę w sposób prowadzenia kasy i utrzymywanie rachunkowości.

— A to proszę koleżanki — wskazał na przyrząd — nazywa się „composteure“, posiada on walec z ruchomemi liczbami, który nastawia się każdego dnia. Bilet wkłada się w otwór, naciska się rączką żelazną, i już odciska pani datę na odwrotnej stronie biletu.

Nauka ta trwała do godziny jedenastej.

— Teraz koleżanko zamykam kasę... najbliższy pociąg dziesięć przed trzecią. Czas się posilić, może razem pójdziemy? — uśmiechnął się.

— Stołuję się w domu — odpowiedziała chłodno, gdyż zbyt widoczne nadskakiwanie Osteckiego było jej niemiłem. Zdawało się jej, że w jego sposobie rozmowy, spojrzeń, nawet uprzejmości był jakiś odcień lekceważenia.

— Jaka szkoda — westchnął Ostecki — tak się cieszyłem, że wtajemniczę panią w arkana naszej restauracyi.

— A u kogo pani się stołuje? — spytał Jarkowski.

— Od pani Zgierskiej przynoszą mi jedzenie.

— Aha, od Zgierskiej — uśmiechnął się ironicznie — już pani ją poznała?

— Tak jest.

Po jej wyjściu dodał Jarkowski złośliwie:

— No, swój swego znajdzie... winszuję ci koleżanki, Stefanie — zaśmiał się.

— To dla mnie obojętne, przecież nie myślę się żenić — uśmiechnął się dumnie — idzie o przepędzenie czasu, a ona naprawdę ładna i ma takie niewinne oczy... Nie wiesz coś więcej o niej?

— Tyle co i ty, że ma protekcyę inspektora, a resztę domyślasz się zapewne... Zresztą Stański może powie ci coś więcej.

— Prawda... złapię go na obiedzie i spytam.

— Ach, jaki ty młody Stefanie — westchnął Jarkowski — ledwie zobaczył dziewczynę, już leci na nią.

— A czy mi nie wolno? Czy jestem związany jak ty żoną? — pokazał w uśmiechu białe zęby— co mi zresztą szkodzi spróbować? On daleko, ona tęskni, a obowiązkiem chrześcijańskim jest pocieszać strapionych i spełnię moją powinność—śmiał się głośno.



W tej chwili weszła Janina, pozdrawiając obecnych.

— No, z taką może ci się udać — pokiwał głową Jarkowski — ale kiedyś trafi kosa na kamień.

— Jeszcze ten kamień głęboko – musnął czarny wąsik i wyprostował się dumnie. Dowidzenia stary zrzędo.

— Szczęśliwy — mruknął Jarkowski, patrząc na odchodzącego.

Ostecki sam i pewna część kolegów uważali go za niezwyciężonego zdobywcę względów kobiecych. Nawet pani naczelnikowa, zresztą bardzo surowa w osądzaniu mężczyzn, zwłaszcza kolejarzy, uśmiechała się łaskawie do niego, a swoją drogą starannie pilnowała córkę Alisię od wszelkiego sam na sam z ładnym kasyerem.

Na peronie było kilka kobiet, zajrzał im śmiało w oczy, uśmiechnął się zadowolony ze siebie i poszedł w kierunku kancelaryi urzędnika ruchu, gdzie Stański praktykował. Dawniej był wprawdzie urzędnikiem ruchu na mniejszej stacyi, jednak Horynia była węzłową stacyą i musiał wpierw odbyć praktykę, zanimby objął samodzielne urzędowanie. Posługiwano się nim też na wszystkie strony, a zwłaszcza naczelnik, który wiedział, że Stański został za karę przeniesiony z dyrekcyi na przestrzeń.

Właśnie Stański przyjmował pociąg towarowy, a sam naczelnik z cygarem w ustach kontrolował jego czynność.

— „Stundenpass“ weź pan — krzyczał naczelnik na cały głos.

— Wiem panie naczelniku.

— Gdzie się podziewa „zugsführer“ — wołał poirytowanym głosem naczelnik.

— Już idzie! — odkrzyknął Stański i podszedł kilka kroków do prowadzącego pociąg, ażeby odebrać służbowe papiery.

Sprawdził, czy zegarek prowadzącego pociąg zgadza się z urzędową godziną i skierował się do biura, ażeby zapisać nadejście pociągu towarowego.

Naczelnik okiem władcy patrzał na stojący pociąg i tor przedstacyjny i rzekł do Stańskiego:

— Pan ma zamało przeglądu wszechstronnego, widzi pan przecież, że ostatnie wagony stoją na „Geleise drei“, jak zacznie pan „szybować“ wejdą na „Geleise zwei“, a tam „wajcha“ ustawiona jest na „personkę“ i może być nieszczęście.

— Zaraz zarządzę — odparł z pośpiechem — tylko zapiszę — podniósł papiery w górę.

— Otóż tacy wy wszyscy z dyrekcyi — zaśmiał się drwiąco naczelnik — tylko to widzicie, co przed nosem, a w służbie na wszystko trzeba mieć oko.

— Rozumiem — mruknął Stański.

— To mało rozumieć, trzeba zrobić.

— Dobrze panie naczelniku — i odwrócił się, ażeby wydać potrzebne zarządzenia.

— Wpierw pan zapisz — krzyknął naczelnik — na szybowanie i „przykuplowanie naszych pakwagenów“ będzie czas.

— Dobrze panie naczelniku.

Mniej więcej dozorowanie naczelnika na dworcu było tego rodzaju, że wydawał stosowne rozkazy, albo w chwili spełniania wymaganej czynności, albo po jej spełnieniu, a bardzo rzadko w chwili odpowiedniej. Miał on jednak to głębokie przeświadczenie osobiste, że bez jego wdania się nie byłoby porządku, zdarzałyby się zderzenia pociągów i cała kolej stanęłaby.

I teraz z poczuciem spełnienia obowiązku, z wielką godnością poszedł do swego mieszkania. Podwładni odetchnęli, a cała robota przesuwania wagonów i dołączenia do pociągu stojących na stacyi wagonów towarowych odbyła się cicho i w porządku.

Nadeszła chwila wolna pomiędzy ustawieniem na wskazanym torze pociągu towarowego, a nadejściem pociągu osobowego i Stański mógł wpaść do restauracyi i posilić się.

— Cóż, jak ci smakuje służba u nas? — spytał Ostecki, siadając przy Stańskim.

— Jak psu orka — odparł chmurny — wypełniam rozkazy, stosuję się do przepisów, a wszystko na nic, naczelnik musi mieć „wink von oben“, ażeby sprawdził moją nieudolność do służby...

— To już przesada, stary Kurczyński niezły człowiek, tylko porywczy i krzykliwy, bo w domu musi trzymać buzię na kłódkę — zaśmiał się ze swego konceptu.

— Dom jest domem, a służba służbą — powiedział twardo — swe złe humory niech wyładuje na spacerze, polowaniu, a nie na nas.

— Tylko nie szukaj ideałów — uśmiechnął się Chrustowski — bierz ludzi jakimi są i przystosuj się do nich, bo nic nie zyskasz na kolei. Czy sądzisz, że naczelnikowi nie zalewają sadła za skórę tacy kontrolorzy, inspektorzy i inni?

— Et, co tam gadać dużo — rzekł Stański — jesteśmy w jarzmie podłem, a wyzwoli nas jedynie zrzeszenie się wszystkich pracowników.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Uwięzienie adwokata w Warszawie.

Pomimo licznych aresztowań, dokonywanych niemal codziennie przez policyę warszawską, nie-



Uwięzienie adwokata w Warszawie: Stanisław Patek.

zwykłe jednak wrażenie wywarło odstawienie do Cytadeli adwokata przysięgłego Stanisława Patka. Wieść o tem wywarła niekłamany żal w najszerszych kołach, gdyż mecenas Patek cieszy się ogólną a wielką sławą i zdobył sobie trwałą wdzięczność. Na dziesiątki można liczyć tych, których wymową swą uchronił od ciężkich bardzo kar. Kancelarya jego zawsze była przepełniona klientami, którzy znajdowali u niego bezinteresowną pomoc.

Zarządzenie aresztowania mecenasa Patka musiało być spowodowane niezwykłej chyba ważności względami, przy rewizyi bowiem w jego mieszkaniu, oprócz całej masy przedstawicieli ochrany, znajdował się prokurator wojenny. Mecenasa Patka w chwili zjawienia się policyi nie było w domu, znajdował się bowiem w restauracyi hotelu „Bristol“, gdzie też został aresztowany i odstawiony natychmiast do Cytadeli, bez zwykłych w takich razach etapów, aresztów w Ratuszu i Pawiaku. Uwięzienie mecenasa Patka wyrządza największą przykrość tym wszystkim, którzy w ręce jego złożyli swe sprawy.

Zamach na szacha perskiego.

Nie przebrzmiało jeszcze echo strasznej tragedyi lizbońskiej, echo królobójstwa w Portugalii, a już ofiarą nowego zamachu miał paść władca państwa perskiego, od roku dopiero sprawujący rządy, szach Muhamed Ali. Zamach ten został wykonany w ubiegłym tygodniu w stolicy Persyi Teheranie, za pomocą dwu maszyn piekielnych.

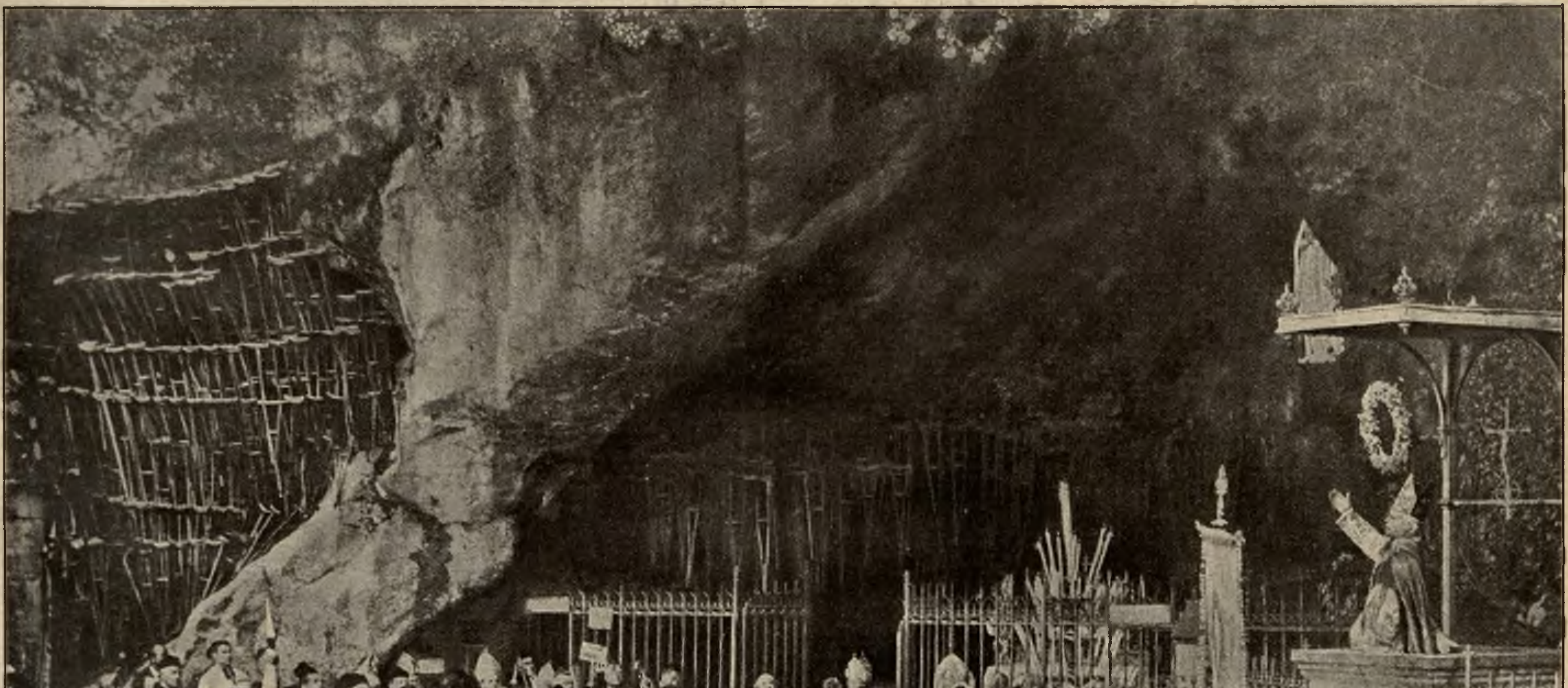
Podobnie jak w Portugalii, stosunki wewnętrzne państwa perskiego przedstawiały obraz najzupełniejszego rozkładu. Konstytucya, od niedawna dopiero wprowadzona w życie, nie przyjęła się jeszcze wśród ogółu, sfery dworskie zaś, nieprzyjaźnie wobec nowej formy rządów usposobione, szukały sposobności, by przywrócić autokratyzm. Przychodziło stąd do ciągłych nieporozumień między parlamentem perskim, przedstawicielem woli ludu, a szachem i jego najbliższem otoczeniem. Łagodził je przez długi czas dość szczęśliwie dzielny prezydent parlamentu, Mahmood Khan, w ostatnich jednak tygodniach i jego interwencya okazywała się bezskuteczną. Ostatnie przesilenie zostało tylko pozornie zażegnane, równocześnie zaś pojawiły się pogłoski o zamierzonym zamachu na życie szacha.

W następstwie tego zdwojono środki ostrożności, władca zaś perski tylko wyjątkowo opuszczał swój pałac. W ubiegłym tygodniu wybrał się on na przejażdżkę do Doszan-Tepech w otoczeniu silnej eskorty. Czoło orszaku stanowił oddział jazdy, za nią posuwał się automobil, a dopiero w końcu, w znacznej dość odległości powóz, wiozący szacha. Spiskowcy sądzili, że szach zajmuje miejsce w automobilu, w chwili też, gdy orszak znajdował się



Zamach na szacha perskiego: Muhamed Ali, szach Persyi.

w jednej z wąskich ulic Teheranu, rzucili z dachu domu dwie maszyny piekielne pod automobil. Obie maszyny wybuchły, szerząc straszną panikę



Jubileusz cudownego miejsca: Kazanie biskupa z Tarbes, podczas uroczystości jubileuszowych w Lourdes.

w tej okolicy miasta. Wybuch wyrządził znaczne szkody, zginęło kilku ludzi z orszaku szacha, a przeszło trzydzieści osób odniosło ciężkie rany. Sam szach wyszedł zupełnie cało z zamachu. Wysiadłszy z powozu udał się w otoczeniu oficerów gwardyi do jednego z domów, a potem powrócił do pałacu.

Ze sprawców nikogo nie ujęto, choć dokonano bardzo licznych aresztowań. Mówią też powszechnie, że spiskowcy mieli pomocników w wysokich sferach rządowych i wśród członków parlamentu. Już te pogłoski dowodzą niesłychanego rozprzężenia w państwowej organizacyi Persyi.

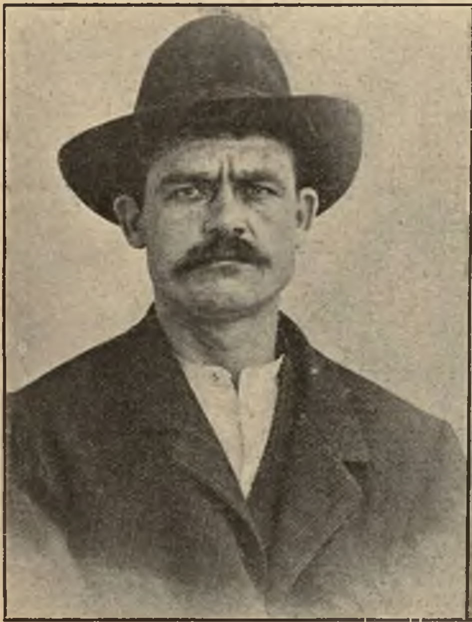
Krwiożercza banda przed sądem.

Przed trybunałem sądu przysięgłych w Przemyślu toczyła się przez 10 dni rozprawa karna przeciw szajce rabusiów i morderców, którzy w lecie z. r. swemi krwawemi dziełami szerzyli paniczny niemal przestrach w okolicach Gródka Jagiellońskiego, zanim wpadli w ręce władz bezpieczeństwa. Sporo tych napadów mają oni na swem sumieniu. I tak na drodze między Czerlanami a Gródkiem obrabowali karczmarza Handzla, niedługo potem zamordowali dzierżawcę myta drogowego obok Gródka, Rothmana, usiłowali taką samą zbrodnię popełnić w karczmie w Lackiem. a wreszcie najdzikszego mordu dokonali w Tuligłowach, pozbawiając życia karczmarza Schlaffa, a jego młodą żonę ciężko raniąc.

Śledztwo w sprawie tych rabunków i mordów naprowadziło wreszcie na ślady krwiożerczych rzezimieszków i oddało ich w ręce sprawiedliwości. Po wygotowaniu aktu oskarżenia, stanęli przed ławą przysięgłych w Przemyślu, aby odpowiadać za swe zbrodnie.

Dobrana to szajka rabusiów! Ich oblicza o ty-

Krwiożercza banda przed sądem:



Teodor Tyszyk.



Piotr Czebak.



Stefan Hałuszka



Fot. M. Todt, Przemyśl.
Marya Czebakowa.

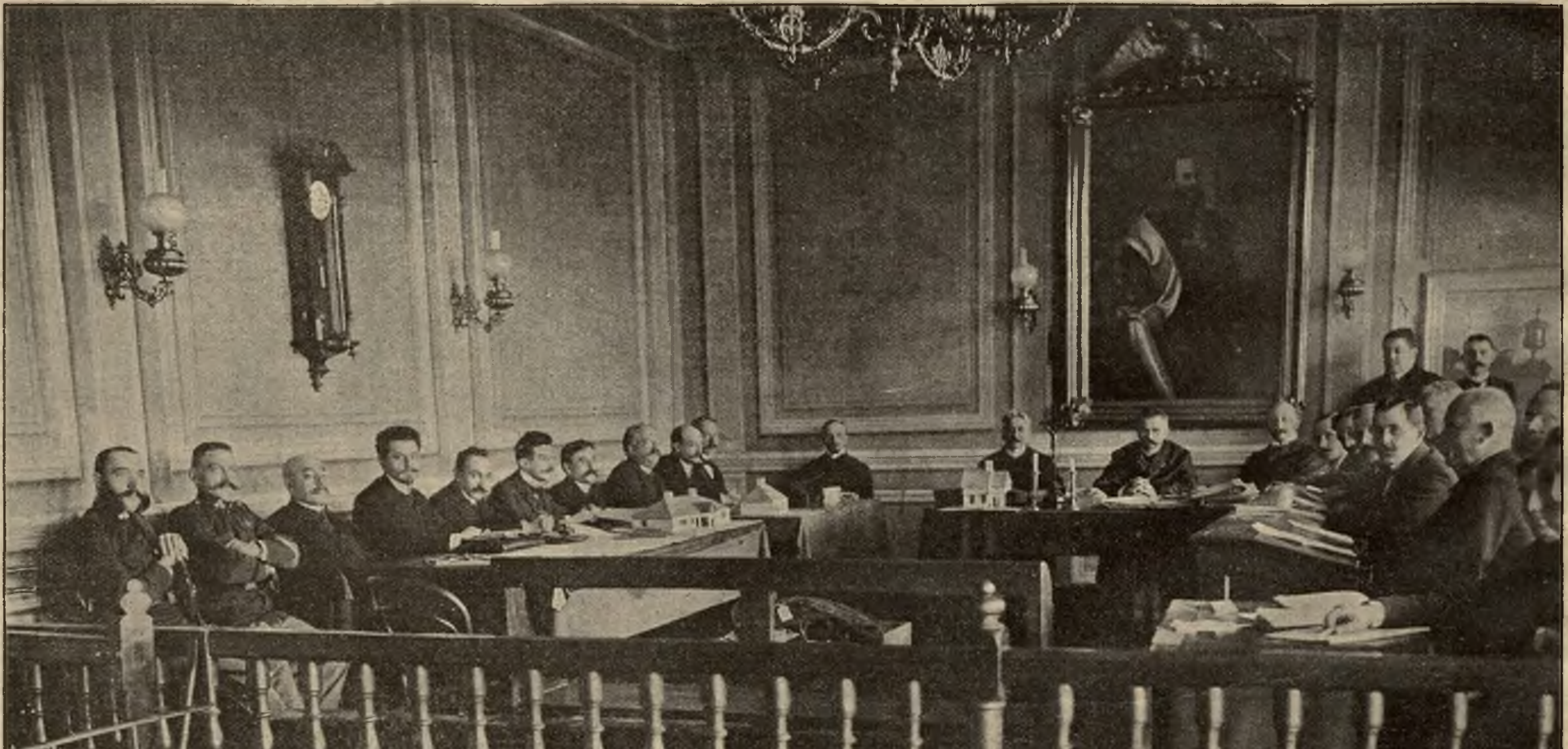
Jubileusz cudownego miejsca.

Wśród niezliczonego napływu pielgrzymów, przybyłych nietylko z Francyi, lecz ze wszystkich części świata, obchodzono niedawno w Lourdes pięćdziesiątą rocznicę pierwszego zjawienia się Matki Boskiej w grocie leżącej obok tego miasta, jakiego świadkiem była — wedle tradycyi — uboga dziewczka tamtejsza, Bernadotta Soubirous. Miejsce to zasłynęło wkrótce licznymi cudami. Chorzy i kaleki poczęli napływać do Lourdes ze wszystkich krańców świata, by w wodzie źródła, jakie tam wytryska, odzyskać utracone zdrowie.

Dzisiaj uboga ta mieścina rozrosła się w wielkie miasto, nad którem górnje potężna bazylika, wzniesiona ze składek wiernych. Ściany cudownej groty obwieszone są dokoła licznemi wotami i kulami, pozostawionemi przez kaleki na widomy znak odzyskania zdrowia.

Uczczenie rocznicy pamiętnego dla całego świata katolickiego wypadku, odbyło się w niezwykle solenny sposób. Uroczystościom kościelnym przewodniczył legat papieski, kardynał Lecot, oprócz którego piętnastu biskupów brało udział w tem święcie. Punktualnie o godzinie dwunastej w południe, niezliczone kompanie pielgrzymów zeszły z bazyliki do groty, gdzie biskup z Tarbes wygłosił kazanie i okazał zebranym różaniec, na którym pół wieku temu modliła się Bernadotta Soubirous.

Malowniczą chwilę nabożeństwa i płomiennego kazania biskupa, przedstawia nasza rycina. Widać tam tysiączne rzesze wiernych, zgromadzonych pod cudowną grotą i wsłuchanych w słowa kaznodziei.



Fot. M. Todt, Przemyśl.
Krwiożercza banda przed sądem: Sala rozpraw sądu w Przemyślu. Po lewej rzeczoznawcy i obrońcy, w środku prokurator i trybunał, po prawej ława przysięgłych.

powym wyrazie morderców, noszą na sobie wyryte piętna zbrodni i krwiożerczych instynktów. Na pierwszy plan wysuwa się z pośród sześciorga oskarżonych, postać herszta bandy, Piotra Czebaka. Mężczyzna młody, dobrze zbudowany, o twarzy cynicznej, zezwierzęconej. Historya jego rozbójniczej karyery, zawarta w akcie oskarżenia, podaje mnóstwo szczegółów, z których wynika, że indywiduum to zatraciło zupełnie uczucie litości. Mordował na zimno, według przygotowanego planu. Równie niesympatyczne wrażenie wywiera matka jego, stara Czebakowa, widocznie złe, zajadłe kobiecisko. Typowa megera. Jedno oko przesłonięte bielmem, wrażenie niesympatyczne potęguje. Dalsze miejsca zajmują w tej galeryi typów Lombrozowskich Teodor Tyszyk, wspólnik Czebaka w mordach i po-

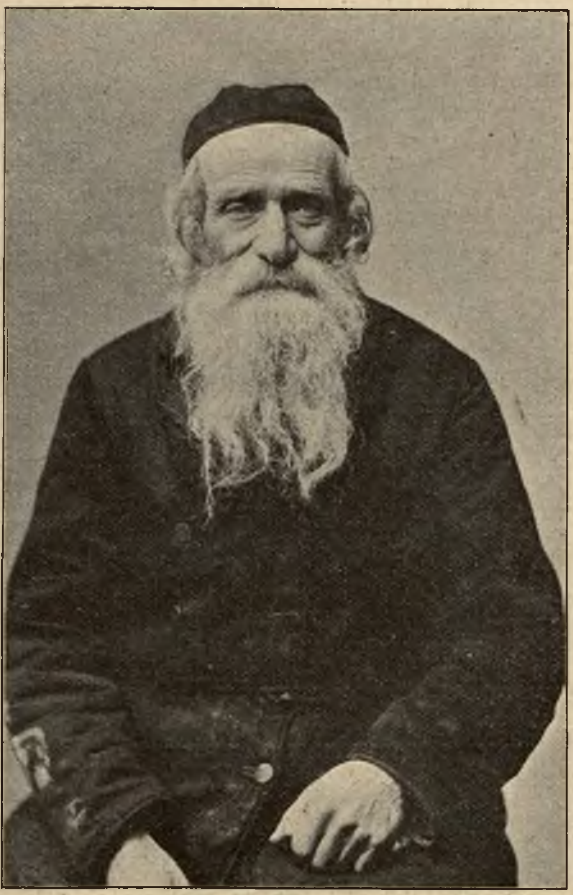


Fot. M. Todt,Przemyśl
Krwiożercza banda przed sądem: Rozalia Schlaffowa

słuszne jego narzędzie, oraz Stefan Hałuszka, najmłodszy z nich, o dzikim, nawpół głupkowatym wyrazie oczu. Wszyscy czworo odpowiadają za dokonanie wymienionych wyżej zbrodni. Nakoniec żony dwu bandytów, Katarzyna Tyszykowa i Barbara Czebakowa, oskarżone o ukrywanie przedmiotów, pochodzących z rabunków.

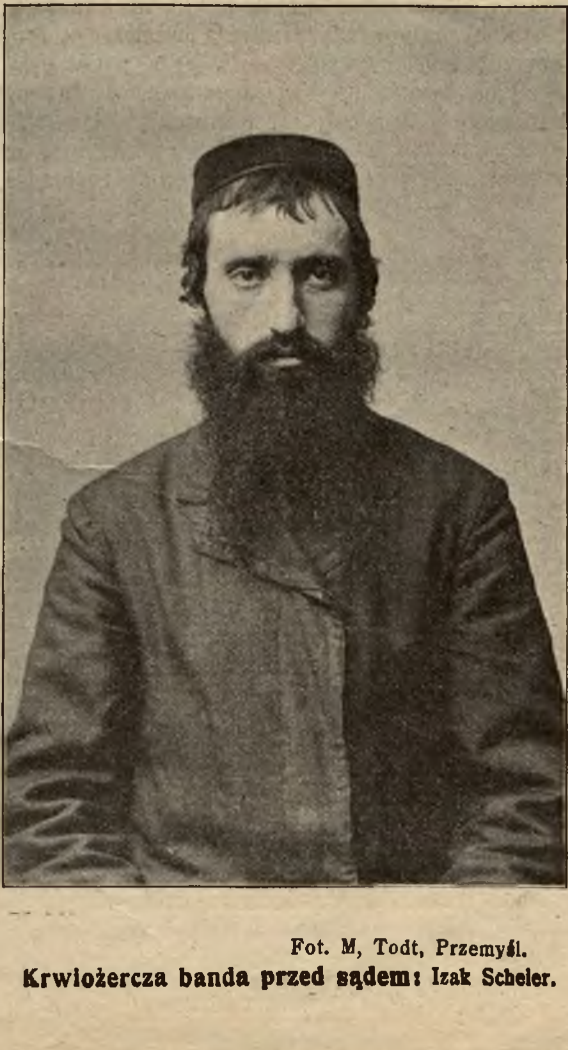
Rozprawa ta, pod przewodnictwem radcy d-ra Czaykowskiego, stała się sensacyą i wypadkiem dnia w Przemyślu, a obszerne i szczegółowe sprawozdania w dziennikach galicyjskich wywołały ogólne zainteresowanie. Prokuratorya nagromadziła bardzo wiele i niezbitych dowodów przeciw oskarżonym, popartych zresztą przyznaniem się ich samych. Pewne utrudnienie stanowiło tylko symulowanie obłędu przez dwu podsądnych, Czebaka i Hałuszkę; dopiero pod sam koniec rozprawy zmienił Hałuszko system obrony i zaprzestawszy symulacyi, przyznał się do winy.

Interesujące i niepozbawione momentów wysoce dramatycznych, było przesłuchanie tych świadków, którzy należeli do ofiar bandy, a cudem niemal zdołali się uratować i ujść z życiem. Tu należy Leib Handzel, 78 letni starowina, karczmarz koło Czerlan. Twarz typowa, semicka, o długiej, siwej brodzie, coś jak ów 109 letni Baumsztyk z Warszawy. Opowiadał on przed sądem, jak to napadnięty przez bandę Czebaka wykupił się zbrodniarzom dobrowolnie złożoną kwotą 80 koron. Wiele obciążających szczegółów podał 16-letni Eisyk Rothman, syn zamordowanego dzierżawcy myta drogowego. Zdołał on ujść z izby, w której leżał trup ojca, na pole i schronić się w bezpieczne miejsce. Izak Scheier uratował życie swe dzięki przytomności umysłu i śmiałości. Posłyszawszy dobijanie się rabusiów do okienicy, stanął w pogotowiu z siekierą w ręku, zdecydowany gwałt odeprzeć gwałtem. Rabusie odeszli. Ale najwięcej uwagi



Fot. M. Todt, Przemyśl.
Krwiożercza banda przed sądem: Leib Handzel.

skupiły na sobie zeznania Rozalii Schlaffowej wdowy po zamordowanym w Tuligłowach karczmarzu. Jestto młoda, 21-letnia kobieta, przystojna, choć przejścia straszne odbiły się na niej. Opowiadanie jej, jasne, proste, a pełne wstrząsających szczegółów, to jakby akt z jakiegoś sensacyjnego dramatu. Na straszne sceny, jakie rozgrywały się w karczmie tuligłowskiej, patrzyła ona własnemi oczyma. Widziała śmierć ukochanego męża, z którym żyła dopiero dwa lata, widziała potem morderców, łupiących ich urządzenie, widziała każdy ich ruch, słyszała każde ich słowo, ukryta w dole ściany koło łóżka. Widziała potem, jak szukali jej samej, czuła zbliżającą się śmierć. Uniknęła jej dzięki nadzwyczajnym zasobom sił fizycznych. Bo odkryta przez rabusiów otrzymała cztery postrzały, z których zwłaszcza jeden, w bok, sprawił jej wiele bólu. Mimo to potrafiła wydostać się na wolność, i goniąc resztkami słabnących sił zaalarmować sąsiadów. Dzięki temu ocaliła życie.



Fot. M, Todt, Przemyśl.
Krwiożercza banda przed sądem: Izak Scheier.

A wszyscy świadkowie zeznawali zgodnie, że głównymi działaczami w bandzie rozbójniczej byli Czebak i Tyszyk, że oni obaj strzelali do ofiar, że oni rabowali. Niepoślednią rolę grała stara Czebakowa, która choć sama nie mordowała, to jednak zachęcała do zbrodni; Hałuszka był tylko pomocnikiem podrzędnym

Mimo oczywistych i niezbitych dowodów winy oskarżonych rzezimieszków, nie przyszło w tej rozprawie do rozstrzygnięcia, a to z powodu rzekomego obłędu, którym ma być herszt bandy, Piotr Czebak, dotknięty. Celem ostatecznego stwierdzenia stanu umysłowego tego rzezimieszka, zostanie on odstawiony na obserwacyę do zakładu obłąka-



Fot. M. Todt, Przemyśl.
Krwiożercza banda przed sądem: Eisyk Rothman.

nych w Kulparkowie pod Lwowem. Taką uchwałę powziął trybunał, prowadzący rozprawę, na skutek czego rozprawa ta została odroczoną i odbędzie się ponownie dopiero za parę miesięcy.

Z powodu tego sensacyjnego procesu zamieszczamy w dzisiejszym numerze prócz portretów czworga głównych oskarżonych i prócz portretów klasycznych świadków, zdjęcie fotograficzne sali rozpraw sądu obwodowego w Przemyślu.

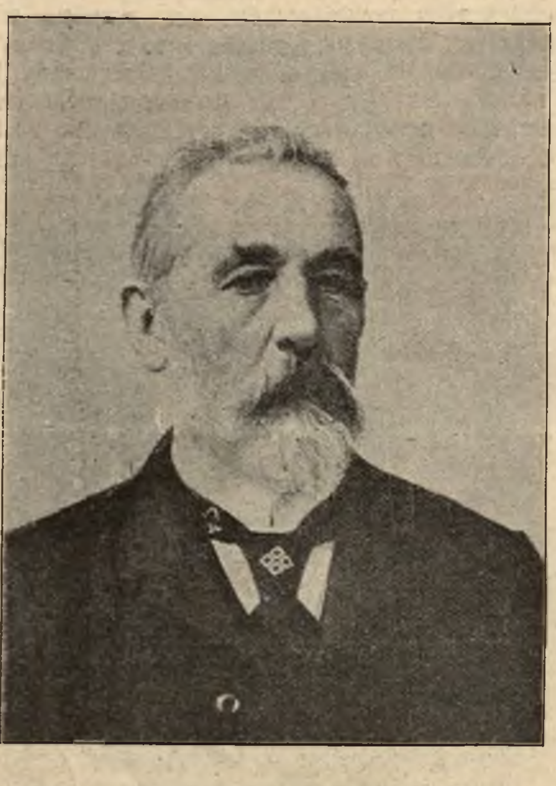
Śmierć wybitnego lekarza.

Ze wszystkich lekarzy świata całego największą i najbardziej zasłużoną sławą cieszył się zmarły przed paru dniami profesor Fryderyk Esmarch. Był to może jedyny na świecie człowiek, który za życia jeszcze doczekał się takiego uznania zasług, jakiego niewielu dostąpić może nawet po śmierci. Oto miasteczko rodzinne Tönning, chcąc uczcić najsławniejszego swego obywatela, wystawiło mu przed laty kilku pomnik, a w uroczystości odsłonięcia tego pomnika wśród całych mas przyjezdnej publiczności, brał udział ze swą rodziną profesor Esmarch.

Urodzony w 1823 roku, kształcił się na lekarza w Getyndze i Kolonii, gdzie z ławy studenckiej przeszedł w kilka lat po skończeniu studyów na katedrę profesorską. Gdy wybuchła wojna szlezwicko-holsztyńska, Esmarch został powołany do służby lekarskiej na pole walki. Następnie brał udział jako lekarz w wojnie z Austryą i wreszcie w wojnie francuskiej, jako naczelny lekarz armii niemieckiej. Głównem dziełem jego był wynala-

zek odkrwawiania, tak iż przy użyciu gumowych opasek, można dokonywać operacyi na różnych częściach ciała bez upływu krwi.

Zmarły profesor żonaty był po raz pierwszy z córką swego profesora Stromeyera, a po jej śmierci z księżniczką Henryką szlezwicko-holsztyńską, przez co został wujem Wilhelma II. Przed kilku laty ustąpił z katedry uniwersyteckiej i spędził ostatnie chwile w zaciszu domowem.



Skon czeskiego poety: Ś. p. Svatopluk Czech.

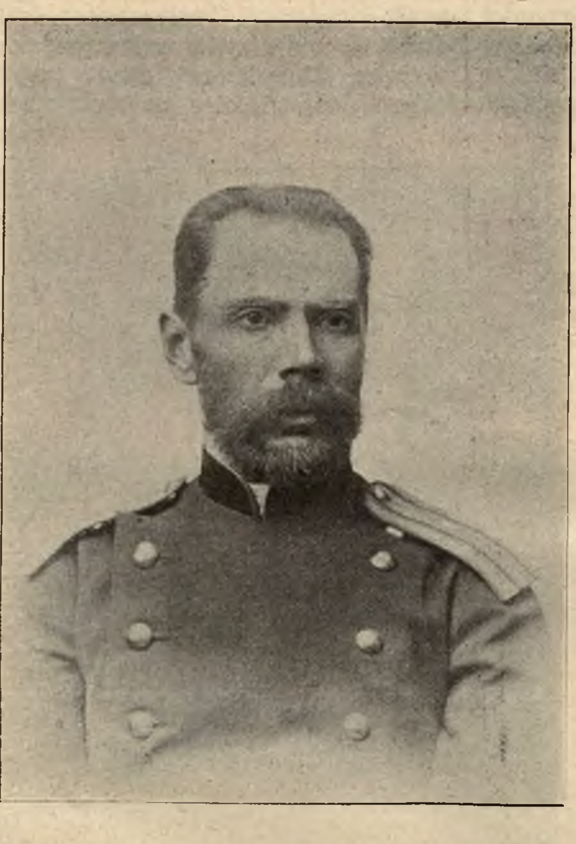
Skon czeskiego poety.

Piśmiennictwo czeskie okryło się żałobą z powodu śmierci jednego z najwybitniejszych swych poetów, a gorącego przyjaciela narodu naszego, śp. Svatopluka Czecha.

Urodzony w r. 1846 w Ostrzelku pod Beneszewem, po ukończeniu gimnazyum i wydziału prawniczego w uniwersytecie praskim, zamierzał się poświęcić adwokaturze i nawet przez lat kilka praktykował w kancelaryach adwokackich, lecz już w tym czasie więcej zajmował się literaturą niż swoim zawodem.

Z początku bezimiennie, potem pod najrozmaitszemi, a coraz to nowemi pseudonimami umieszczał swe poezye w dziennikach czeskich, które zwracały powszechną uwagę na nieznanego poetę. Pierwszym jego większym utworem była fantazya liryczno dramatyczna „Burza“, w której okazał się w całej pełni niezwykły jego talent poetycki. Powodzenie pierwszego tomu poezyi zawyrokowało o dalszych jego losach, porzucił zupełnie adwokaturę, oddając się w całości literaturze, w której zdobył sobie niezaprzeczoną sławę.

W wielu swych utworach, które rozchodziły się w licznych edycyach po wszystkich zakątkach Czech, opiewał i ziemię polską, wzywając swych ziomków do jej umiłowania. Przez lat blisko pięćdziesiąt stał on na czele ruchu literackiego i umysłowego całych Czech, które też żywo odczuwają jego stratę.



Generał Olchowskij, b. gen.-gubernator wojenny m. Warszawy i gubernii warszawskiej, powołany do Finlandyi.

Pogłoski o wojnie.

Przed niedawnym czasem rozeszła się po świecie całym wieść, iż na granicy między Rosyą a Turcyą, oba te państwa poczęły przeprowadzać mobilizacyę swych wojsk. Wiadomośc ta zwróciła oczy na „chorego człowieka“, za jakiego uważanym jest nietylko sam sułtan, lecz i jego państwo.

Turcya, w której rozprzężenie polityczne stało się przysłowiowem, w ciągu XIX. stulecia przedstawiała obraz gracza, który po jednej nieszczęśliwej partyi zapożycza się na wszystkie strony, aby w najbliższym czasie rozpocząć grę na nowo. Turcya grą chce odzyskać to, co w grze straciła, nie starając się wcale powetować szkód swych innym sposobem, ani też zapobiedz niedomaganiom własnego rządu. Stan wewnętrzny Turcyi jest obecnie taki, iż od kilku miesięcy ani urzędnicy pensyi, ani wojsko nie otrzymało żołdu.

Mimo to Turcya nie zważając na swe opłakane finanse gotuje się podobno do wojny. Początkowo zamierzała Turcya wygrać coś na Persyi i oddziały tureckie rozpoczęły już rabunki wzdłuż granicy perskiej, w czas jednak spostrzeżono się, iż szach ma dwóch protektorów w Rosyi i Anglii i spokój w Azyi powrócił. Natomiast wydano rozkazy wzmocnienia wojsk na granicy rosyjskiej, na co Rosya odpowiedziała swoją mobilizacyą. Pierwszym terenem przyszłych walk byłaby też granica międzypaństwowa na Kaukazie, który niedawno jeszcze należał do posiadłości tureckich. Rycina nasza przedstawia właśnie wojsko rosyjskie w marszu przez góry kaukaskie ku granicy tureckiej.

Skon znakomitego malarza.

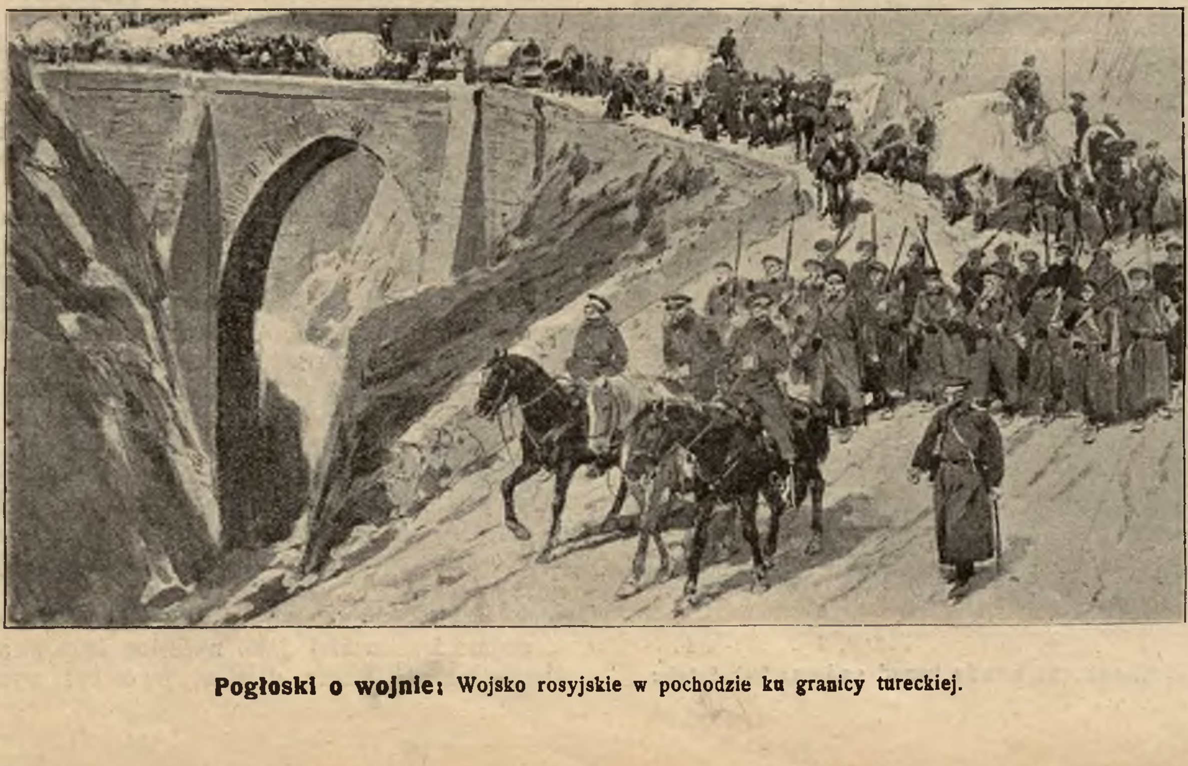
Sztuka malarska poniosła ciężką stratę. Zmarł mianowicie w Düsseldorfie dyrektor tamtejszej akademii sztuk pięknych, Piotr Janssen, jeden z najwybitniejszych malarzy współczesnej doby, znakomity twórca obrazów historycznych.

Zmarł w sile wieku, licząc 64 lat, w okresie życia tedy, w którym wiele jeszcze na polu sztuki mógł zdziałać. Rodem z Düsseldorfu, tam w akademii rozpoczął studya malarskie, wybijając się bardzo prędko na czoło swych towarzyszów. W bardzo też młodym wieku rozpoczął samodzielną pracę, a szereg jego obrazów, odznaczających się doskonałą kompozycyą, życiem z nich bijącem i nadzwyczajnym kolorytem, zyskały mu imię wybitnego malarza.

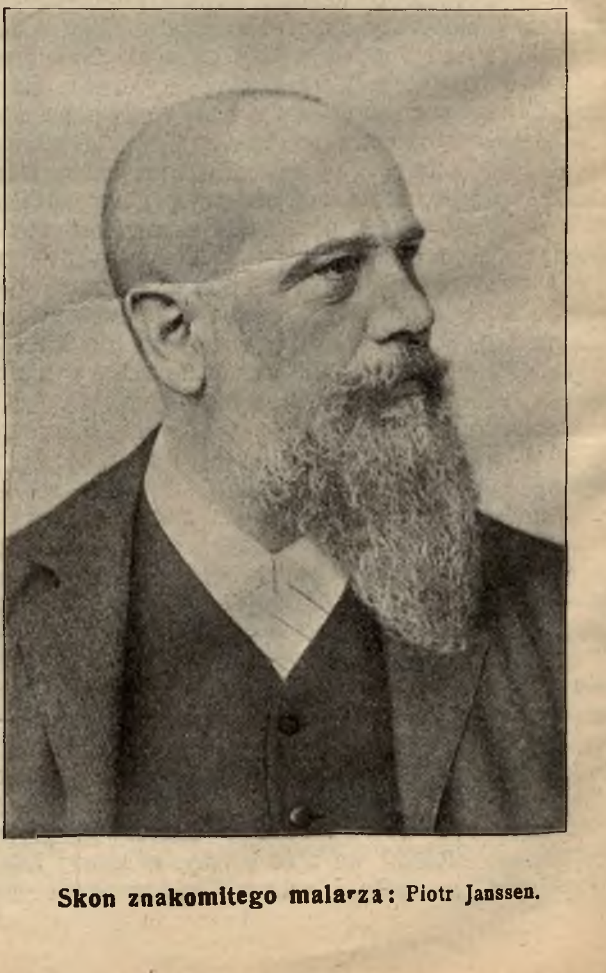
Zawód nauczycielski rozpoczął w r. 1877 w tej samej akademii, na której się do niedawna kształcił; w piętnaście lat potem został jej dyrektorem. Na tem stanowisku położył ogromne zasługi, zreformował bowiem gruntownie zakład, kładąc podwaliny pod dzisiejszą jego świetność. Poza tem pracował dalej jako artysta i stworzył w tym okresie szereg niepospolitych dzieł.



Smierć wybitnego lekarza: Fryderyk Esmarch.



Pogłoski o wojnie: Wojsko rosyjskie w pochodzie ku granicy tureckiej.



Skon znakomitego malarza: Piotr Janssen.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

13 (Ciąg dalszy).

— Czy on pociągnął za cyngiel, czy kurek sam opadł, czy ja może w szamotaniu cyngla dotknąłem, tego już nie wiem, dość — że padł strzał, brat mój krzyknął przeraźliwie i stoczył się w przepaść, a działo się to nad wąwozem stromym, skalistym, nad wezbraną rzeką. Skoczyłem za Erichem w przepaść. Oblały mnie fale wody, szukałem brata, lub zwłok jego, ale nigdzie nie znalazłem. Wróciłem do domu na pół przytomny, no i stało się nowe nieszczęście: posądzono Barlowa o morderstwo, a ja to całe zajście zachowałem w tajemnicy.

Ale na tem nie koniec. Na drugi dzień po tym strasznym wypadku, Marya nagle umarła. Więdniała ona zwolna, usychała z dniem każdym, jak kwiatek podcięty; w kilku tygodniach zestarzała, nie skarżąc się, nie wyrzekając. Cicha, łagodna jak zawsze, Bogu tylko zwierzała się ze swoich cierpień, aż wreszcie nazajutrz po owem nieszczęściu nad wąwozem — umarła nagle. Jej ojciec mówił, że skończyła na udar serca, ale ja się dowiedziałem, że biedaczka otruła się z rozpaczy. To był jedyny grzech, który popełniła w życiu.

Oto masz pouczającą dla ciebie historyę. Teraz czekam spokojnej odpowiedzi, czy mam prawo ostrzegać cię przed wycieczkami do pani de Rivallier?

— Dziękuję za to zaufanie, którem mnie pan zaszczycić raczyłeś. Wzruszony tem opowiadaniem do głębi, a zarazem badając się najdokładniej, zapewniam pana uroczyście, że w mojem postępowaniu niema najmniejszego podobieństwa do tego, co słyszałem. Byłem u pani Rivallier, wiedziony jedynie i wyłącznie uczuciem litości dla wdowy i kierowany obowiązkiem męskiej uprzejmości dla kobiety. W rozmowie naszej nie było ani wzmianki o tem, co się działo w Walramsegg, nie było ani słowa takiego, któregobym się mógł wstydzić wobec mojej narzeczonej, wobec mojego honoru. Pani Rivallier była tylko obojętną, znajomą mi kobietą, a ja byłem tylko znajomym, do zwykłej przysługi gotowym. Moje sumienie nie czyni mi najmniejszego wyrzutu i mogę śmiało w oczy patrzeć ukochanej narzeczonej.

Wolfgang mówił spokojnie, głosem pewnym, stanowczym, więc Dossenau uspokoił się, twarz mu się wypogodziła, ale mimo tego tkwiła w nim jeszcze jakaś niepewność, bo odezwał się napół żartobliwie:

— Wierzę ci mój kochany, ale ty nie dowierzaj sam sobie i nie dowierzaj takiej kobiecie, jak pani Rivallier. Kobiety takie mają moc wielką w kuszeniu mężczyzny, a taka młoda krew, jak twoja, miewa wielką zapalność. Więc powtórz sobie: „I nie wódź nas na pokuszenie“ i nie narażaj się na niebezpieczeństwo.

— Ależ ja wcale nie mam zamiaru ponawiać wizyty u pani Rivallier. Udałem się tam, aby okazać gotowość do przysługi, gdyby jakiej potrzebowała i na tem rzecz skończona.

— A więc dajesz mi słowo, że już nigdy do niej nie pójdziesz?

— Tak panie. Ręczę słowem honoru, że nie mam najmniejszej chęci do odwiedzenia pani Rivallier, że do niej wybierać się nie zamierzam. Czy u niej jeszcze kiedy nie będę, tego przewidzieć nie zdołam. Mogą się nasunąć okoliczności, które zniewolą nietylko mnie, ale i pana i każdego wogóle z jej znajomych do zetknięcia się z tą panią. Że z własnej woli, z własnego popędu do pani Rivallier się nie udam, za to panu ręczę ponownie słowem honoru.

Dossenau wyciągnął rękę, Wolfgang ją uścisnął i po tej burzy nastała teraz dawna pogoda.

XV.

Upłynął tydzień spokojny, cichy, w zwykłych zajęciach i ani śladu nie było z tego kwasu, z tego nieporozumienia, co przed tygodniem zamąciło serdeczny stosunek Wolfganga z Dossenauem.

Wolfgang zajęty pracą — ani na sekundę nie wspomniał sobie willi w Condamine, a Dossenau, uspokojony przyrzeczeniem Wolfganga, z całą swobodą udawał się na wycieczki, czy na przejażdżki, ale przeważnie w towarzystwie Heleny, aby Wolfganga nie odrywać od pracy.

Jakoś dziewiątego czy dziesiątego dnia od owej awantury przy obiedzie, Dossenau z Heleną wyjechali w dalszą okolicę, a Wolfgang pracował w swoim pokoju. Ktoś zapukał do drzwi. Wolfgang otwiera i spostrzega na progu pokojówkę Ellinory, wręczającą mu list od swojej pani. Zdumiał się i zaniepokoił, myśląc, że stało się jakieś nieszczęście. Wesoła, uśmiechnięta twarz dziewczyny świadczyła wyraźnie, że nie stało się nic złego. Więc po cóż ten list? Wolfgang trzyma go w ręku, jakby nie wiedział, co właściwie z nim zrobić. Bądźcobądź doznawał pewnego niesmaku. Wreszcie rozerwał szybko kowertę i przeczytał:

„Szanowny Panie Doktorze!

Proszę we własnej swojej sprawie odwiedzić mnie natychmiast, bo jutro już opuszczę Condamine i nigdy w te strony nie powrócę. Muszę panu odsłonić ważną tajemnicę, która rozstrzygnie o pańskiem życiu i o szczęściu tych, co Pana kochają.

Oczekuję Pana niecierpliwie, bo niechciałabym odjechać, nie wyjawiwszy Panu poprzednio tej wielkiej tajemnicy.

Pełna przyjaźni
Ellinor de Rivallier“.

Wolfgang przeczytał list, ale jeszcze go trzymał w ręku, jeszcze się w niego wpatrywał i stał bezradny, chwiejny. Iść nie miał najmniejszej ochoty, zwłaszcza po przyrzeczeniu, które dał Dossenauowi; nie wyobrażał też sobie, żeby Ellinora naprawdę jakąś tajemnicę mogła mu wyjawić. Budziło się w nim podejrzenie, czy we wdowie Rivallier nie odżyła dawna rusałka. Nadomiar tego kłopotu nie było Dossenaua, a byłby teraz chętnie mu się zwierzył i list Ellinory pokazał. A jeżeli też rzeczywiście jest jakaś tajemnica, tycząca się jego życia i szczęścia kochającej osoby? Oczywiście pisząc o kochającej osobie, myślała Ellinor zapewne o Helenie. A więc musi usłuchać wezwania, bo to nietylko jego sprawa, ale i Heleny.

Tak rozmyślając waha się jeszcze, wreszcie postanawia zaczekać do powrotu Dossenaua i powiada służącej, aby przeprosiła swoją panią, że nie odpisuje, bo za kilka godzin przybędzie. Na to służąca odrzekła z pośpiechem:

— Pani hrabina kazała bardzo prosić, żeby pan doktor przybył jaknajprędzej, bo potem przygotowania do wyjazdu zajmą pani hrabinie tyle czasu, że pana doktora przyjąćby już nie mogła. Wszystko można załatwić w ciągu dwóch godzin.

Kierując się zawsze grzecznością, nie chciał i teraz wyrządzić kobiecie przykrości przez zjawienie się w porze, dla niej nie wygodnej, więc pochwycił kapelusz i wyszedł prędko ze służącą, podarłszy list Ellinory i wrzuciwszy go do kosza. W przelocie powiedział lokajowi, że wychodzi na dwie lub trzy godziny i prosi, aby państwo byli o niego spokojni.

Pospieszył na dworzec do pociągu i w pół godziny był już przed willą Ellinory. Oczekiwała go na werandzie. Była ubrana w żałobie, jak poprzednim razem, ale przyjęła Wolfganga bez owej wdowieńskiej powagi, którą przed tem okazywała. Swobodna, pełna zalotności, ożywiona — wyciągnęła ku niemu ręce na przywitanie, ręce pokryte brylantami.

Zraziło to cokolwiek Wolfganga, ale wytłomaczył sobie postępowanie Ellinory wrodzoną żywością temperamentu i rozdrażnieniem, jakie zwykle ogarnia tych, co się do wyjazdu sposobią. Ujęła go pod rękę i poufale wprowadziła do salonu. Ku największemu zdumieniu spostrzegł baronową, siedzącą w sztucznej pozie, wybieloną, wymalowaną, wystrojoną z najwyższą przesadą. Zdało się Wolfgangowi, że ta cała historya z odkryciem tajemnicy, musi być jakąś komedyą, boć nie sposób, aby w przytomności baronowej Ellinora ważne tajemnice wyjawiać mogła. I zachowanie się Ellinory i obecność baronowej tak go zraziły, że chciał czemprędzej się oddalić. Już miał na ustach odpowiednie pożegnanie, gdy baronowa, poprawiając jeszcze teatralną pozę, odezwała się z patosem:

— Muszę tu pana przywitać z ciężkim wyrzutem, na który zasłużyłeś. Oczekiwałam pana u siebie, mówiłam to panu; miałam przecież prawo spodziewać się, że będziesz posłuszny zaprosinom tej, która ci pomaga do szczęścia.

Podrażniony Wolfgang odpowiedział uprzejmie, ale z przekąsem:

— Ponieważ nie zasłużyłem niczem na tak życzliwą opiekę pani, przeto wyobrażam sobie, że obiecując mi pomoc do szczęścia, jesteś pani baronowa tylko pod wpływem dobrych chęci.

— Tylko cierpliwości, kochany przyjacielu — odezwała się Ellinor. Usłyszysz pan rzeczy bardzo poważne. Mam nawet obawę, że niepotrzebnie wdarłam się do tajemnicy. Uczyniłam to tylko z przyjaźni dla pana, chociaż właściwie tylko sama baronowa, powinnaby je w cztery oczy wyjawić.

— Zaczyna mnie to bardzo zaciekawiać — odrzekł Wolfgang.

— Więc siadaj pan i słuchaj. W zastępstwie baronowej zadam panu pytanie. Czy pan sądzisz, że Dalmar było właściwem nazwiskiem pańskiego ojca? Czy pan nie przypuszcza, że to było tylko przybrane?

— Nie pani; takich przypuszczeń czynić nie mogę. Mój ojciec był uczciwy i niczego nie ukrywał.

— A jednak mój doktorze — wtrąciła baronowa, uśmiechając się znacząco — bywają takie poprostu konieczności, że ludzie o głośnych, arystokratycznych nazwiskach przybierają skromne, mieszczańskie, aby się usunąć od świata. Bywa to panie niekiedy nawet prawdziwem bohaterstwem wyprzeć się swego nazwiska i zataić je przed żoną i dziećmi.

— Może być, że bywają takie wydarzenia, ale ja stanowczo jestem przekonany, że mój ojciec nie należał do kategoryi tych ludzi, coby swe nazwisko z jakiegokolwiekbądź powodu ukrywać potrzebowali.

— Ależ takie ukrywanie nazwiska nie bywa zawsze wynikiem czegoś uwłaczającego. Proszę być przekonanym, że dla ojca pańskiego mam cześć prawdziwą, chociaż zmienił nazwisko arystokratyczne na skromne, mieszczańskie.

Niecierpliwiło to Wolfganga, upatrywał w tem wszystkiem jakieś niewłaściwe żarty, jakąś niewłaściwą komedyę, czy intrygę, więc powstał z krzesła, aby pożegnać się i odejść, przyczem rzucił od niechcenia ironiczne pytanie:

— Jakże brzmi to arystokratyczne nazwisko, które mój ojciec uważał za stosowne zarzucić?

— Baron Erich Dossenau.

Wolfgang stanął jak wryty. Osłupiał.

— A siadajże pan i słuchaj dalej cierpliwie — odezwała się dalej Ellinor.

— Ależ to niemożebne, co pani mówi — rzekł ocknąwszy się Wolfgang.

— Prawdziwe, moj panie, najprawdziwsze — rzekła baronowa. Ale to dziwne, że pan przebywając w towarzystwie swojego stryja, o tem wszystkiem nic nie wiesz.

— Wybaczą panie, że będę szczery. Całe to opowiadanie wydaje mi się bajką osnutą dla jakiejś mistyfikacyi, tylko nie umiem sobie wytłomaczyć, w jakim celu. Baron Erich Dossenau! Ależ ten pan został jeszcze przed trzydziestu laty w nocy zamordowany, więc jakżeż mógł być moim ojcem? Niechże się panie nie dziwią, że mi się to wszystko wydaje bajką, która we mnie obudza tylko u czucie niesmaku.

Powiedział to stanowczo, chłodno, jakby chciał temi słowy zakończyć niemiłą dla siebie rozmowę. Baronowa, dotknięta niedowierzaniem, odezwała się niecierpliwie:

— Prawdziwie nie pojmuję pana. Jakże można przypuszczać, abym z rzeczy tak poważnej czyniła żarty. Zastanów się pan tylko nad tem, coby mnie do tego nakłonić mogło. Zdawało mi się, że okażesz pan więcej cierpliwości i pozwolisz mi opowiadania dokończyć. Może teraz skłonisz się pan wreszcie do tego, aby wysłuchać dalszego ciągu. Muszę tu dotknąć swoich stosunków rodzinnych. Mój ojciec jako kapitan gwardyi zginął na polu bitwy, a we dwa lata potem umarła moja matka, zostawiając mnie pod opieką krewnych. Miałam wtedy lat czternaście; krewni opiekowali się mną przez lat kilka, poczem oświadczyli, że spuścizna moja po rodzicach wyczerpana, że muszę sama o sobie myśleć i znalazłam się opuszczona, osamotniona. Ale to do rzeczy nie należy, dość że szukając chleba przyjęłam posadę lektorki w domu barona Erlacha, w sąsiedztwie Dossenau.

Wolfgang zerwał się z krzesła, zbliżył się do baronowej, wpatrzył się w nią, jakby przerażony i szepnął:

— Więc to pani... więc Erich Dossenau...

I słowa ugrzęzły mu w gardle, nic więcej przemówić nie zdołał, usiadł i zamyślił się.

— Widzę, że pan coś o tem słyszałeś. Tak panie. Erich Dossenau był wtedy współwłaścicielem dóbr Alltroppen i Dossenau i mieszkał z bratem swoim Curtem. Poznał mnie, zakochał się, oświadczył o moją rękę i dziś byłabym jego żoną, gdyby nie to, że znikł nagle i przepadł bez wieści.

— Więc to pani przyjmowałaś jego odwiedziny, mimo, że miał...

— Że miał narzeczoną, chciałeś pan może po-

wiedzieć. Widzę, że panu te rzeczy cokolwiek znane, ale błędnie pana pouczono. Baron Erich Dossenau był zanadto dystyngowany, aby mógł był na seryo traktować przemijające zainteresowanie się jakąś tam gąską wiejską, w dodatku córką pastora, chłopskiego pochodzenia. Był to kaprys wielkiego pana i nic więcej. Ubliżyłabym sobie, gdybym się nawet porównywała z taką zaściankową pastorówną. Narzeczoną Ericha byłam ja, mnie przysiągł miłość dozgonną i ja tej przysiędze zaufałam zupełnie. Jakżeż uczułam się nieszczęśliwą, gdy Erich przepadł bez wieści. Myślano, że może został zamordowany, dlatego nawet uwięziono jednego z oficyalistów, podejrzanego o popełnienie morderstwa. Opłakałam gorącemi łzami stratę mego najdroższego, no — ale zanadto byłam jeszcze młodą, aby umierać z rozpaczy, więc porzuciłam dom barona Erlacha, nie mogąc znosić kaprysów baronowej i w kilka lat potem wyszłam zamąż za barona Meisenburga. Był to człowiek znacznie odemnie starszy, ale pożycie moje było przyjemne i wygodne, bo umiał zawsze uwzględniać tę różnicę wieku pomiędzy nami. Niestety po dwóch latach małżeństwa owdowiałam. Niemając żadnych dla nikogo obowiązków uprzyjemniam sobie życie podróżami po całej Europie i tym sposobem zdarzyło się, że podróżując z miasta do miasta – spotkałam przypadkowo pańskiego ojca.

Wszystko to, co baronowa mówiła, aczkolwiek inaczej zabarwione, zgadzało się najzupełniej z tem. co Wolfgang słyszał od Barlowa i Dossenaua. Ale baronowa nie budziła w nim zaufania, widział w niej kobietę płochą, więc nasuwały mu się podejrzenia, że to wszystko powtarza, gdzieś coś posłyszawszy. Może nawet i pragnął tego, aby ta historya była wymysłem, bo w sercu uczuwał boleść. Czcił pamięć ojca, kochał go, pamiętał dobrze, jak ten człowiek pracował ciężko, jak sobie odmawiał wszelkich wygód, ażeby tylko rodzina nie czuła niedostatku. I ten zacny, pracowity człowiek, ten tkliwy mąż i ojciec, miałby być Erichem Dossenauem? Tym Erichem, którego Barlow nazwał fałszerzem, oszustem, nawet złodziejem; tym Erichem, który przyłożył broń do piersi kochającego brata? Wolfgangowi kołowało i w głowie i w sercu, nie mógł oprzeć się przygnębieniu. Na chwilę zamyślił się tak bardzo, że nawet nie uważał i nie czuł, jak Ellinor przysiadła się do niego, jak mu oparła dłoń na ramieniu, jak głowę nachyliła ku jego głowie i gorącym oddechem twarz mu rozpalała. Ocknął się wreszcie, ale jego myśli tak bardzo skupiły się około tego, co słyszał z ust baronowej, że i teraz jeszcze nie czuł i nie widział wyzywającej zalotności Ellinory. Baronowa nie przerywała mu zamyślenia, a widząc, że się ocknął i słuchać gotów, mówiła dalej:

— Tak, tak mój doktorze! Znamy się bardzo dawno. Posłuchajże jeszcze cierpliwie. Powiedziałam panu, że przypadkowo spotkałam pańskiego ojca. Było to w parku, szedł z chłopczykiem ośmioletnim, prowadząc go za rękę. To pan byłeś tym chłopczykiem. Ojciec pochylony był, widocznie zgnękany, tak że w pierwszej chwili nie zwróciłam na niego uwagi, ale gdy się zatrzymał i cokolwiek wyprostował, chcąc chłopczykowi coś pokazać, poznałam go po ruchach i po tem, że miał zwyczaj przechylać głowę w jedną stronę, gdy do kogo przemawiał. Byłam kilkanaście kroków za wami, więc nasuwały mi się jeszcze przypuszczenia, iż się pomyliłam. W tem ojciec usiadł na ławce i zaczął chłopczykowi coś opowiadać. Zbliżam się, przypatruję i poznaję Ericha. Zmieniony był bardzo, zestarzał się przedwcześnie, ale poznałam go, poznałam sercem, pamięcią. Zatrzymałam się przed ławką i wymówiłam jego imię; popatrzał na mnie, zerwał się z ławki, wyciągnął ku mnie obie ręce na przywitanie i tak staliśmy chwilę patrząc na siebie, nie mówiąc ani słowa. Ośmioletni chłopczyk spozierał na mnie z niechęcią, nawet ukłonić mi się nie chciał. Ojciec kazał mu iść do ronda, w którem odbywały się zabawy dziecięce, a ze mną usiadł na ławce i rozmawialiśmy długo. Oczywiście byłam ciekawa dowiedzieć się, dlaczego schował się przed światem i ludźmi, dlaczego tak nagle opuścił mnie i majątek rodzinny, ale na to nie dał mi jasnej odpowiedzi. Opowiadał tylko, jak idąc nocą przez las, doznał nieszczęśliwego wypadku. Stoczył się w wąwóz i wpadł do wezbranej rzeki. Wypłynął z niej szczęśliwie, ale do domu nie wrócił, bo miał jakieś nieporozumienie z bratem. W chacie jakiegoś wieśniaka przebył dwa dni, a gdy się dowiedział, iż rozeszła się wieść, jakoby zginął zamordowany, skorzystał z tego i chcąc za umarłego uchodzić, wyjechał do Ameryki, zabrawszy z sobą owego wieśniaka. Nadmienił też, że tak uczynić musiał, że nie mógł pozostawać dłużej w Dossenau. Dokładniej opowiedział, jak pospieszył do Ameryki, jak się tam ożenił z panienką zacną, skromną, pracowitą, jak był szczęśliwym przy jej boku; jak potem z tęsknoty za ojczyzną powrócił do kraju i tu z pracy rodzinę utrzymuje. Również i tego nie chciał mi wyjaśnić, co go skłoniło do zmiany nazwiska. Rozmowa nasza nie trwała długo, bo spieszył do żony, o której się z największą miłością wyrażał. Od owej chwili już go nie widziałam, ale ciekawość nie dawała mi spokoju i zaczęłam dowiadywać się, co też o tem wszystkiem mówią w Dossenau. I dowiedziałam się, że Erich miał jakieś zatargi z bratem, że się go obawiał; znowu, że zawikłał się w jakieś niemiłe sprawy pieniężne. Sądząc z tych opowiadań, wyobrażam sobie, że potrzeba mu było spokoju i tego szukał w Ameryce pod przybranem nazwiskiem. Chyba teraz nie będziesz pan miał wątpliwości?



Uniesiony gniewem odepchnął Wolfganga z taką siłą, że ten padł na wznak na kamienne schody werandy.

Ale Wolfgang nic nie odpowiedział i znowu posmutniał i znowu popadł w zamyślenie. Przypomniał sobie, że istotnie baronowa spotkała się z jego ojcem w parku, że mu wtedy bawić się z dziećmi kazano; przypomniał też sobie, jak zobaczywszy ojca zawołała: „Erich Dossenau“. A więc to prawda! Czyż nie lepiej mu było pozostać z tem przeświadczeniem, że jest synem biednego, uczciwego człowieka, niż widzieć w sobie potomka tego barona Dossenaua, na którym taka przeszłość ciążyła? Ale, skoro ten baron Dossenau jest jego ojcem, nie godzi mu się osądzać jego przeszłości. Wszakże życiem uczciwem, skromnem, wytrwałą pracą, miłością dla rodziny, wyrzeczeniem się nazwiska rodowego, odpokutował już dawne winy i zdał już rachunek ze wszystkiego przed Bogiem. Syn go sądzić nie może, a jeżeli potrzeba jeszcze oczyścić nazwisko, to on — Wolfgang, podwoi siły, aby zasługą całego życia wynagrodzić społeczeństwu to, czem ojciec wobec niego zawinił. I przeniósł się teraz myślą na grób ojcowski i ślubował mu synowską miłość i wyczekiwał błogosławieństwa ojca z poza grobu.

Ellinor zarzuciła mu ręce na ramiona, uśmiechnęła się kokieteryjnie i zaczęła mu pieszczotliwie szczebiotać:

— I nie cieszysz niewdzięczniku? Odzyskałeś nazwisko rodowe, jestes spadkobiercą ogromnego majątku i nie cieszysz się?

Człowiek przejęty nawskroś jedną myślą, jednym rozpędem uczuć i wyobraźni, tak się zatopi w wewnętrznym świecie swego ducha, że traci świadomość tego, co naokół niego w zewnętrznym świecie się dzieje. A Wolfgang tkwił teraz cały w głębi swych myśli i coraz inne go ogarniały. Teraz nasunęło mu się pytanie, co czynić? Jak o tem powiedzieć Helenie i Dossenauowi i czy powiedzieć? A może prosić Dossenaua, aby z baronową się rozmówił? Czy zechce?

Weszła służąca i szepnęła coś baronowej.

— A, to niemiłe dla mnie — rzekła baronowa, zerwawszy się z miejsca – wyobraźcie sobie, jak mi przykro porzucić was w takiej chwili. Ale muszę, muszę. Goście do mnie przyszli i czekają. Trudno. Do widzenia, do widzenia, moi drodzy. No, bądź zdrów doktorze. A może mi przecież podziękujesz za te wiadomości?

Wolfgang ocknął się, chciał coś powiedzieć, ale słów dobrać nie mógł, wyjąkał kilka frazesów, nie wiedząc, czy ma żal do baronowej, czy wdzięczność dla niej za te odkrycia, łamiące jego życie na dwoje.

Baronowa zaszumiała jedwabnemi sukniami i znikła z salonu. Ellinor przytuliła się do piersi Wolfganga i szeptała czule:

— Rozbudź się, powiedz, powiedz o czem tak myślisz, co cię przygnębia?

— Nie wiem, co czynić. Tak mi nie swojsko teraz.

— Co czynić? Szukać szczęścia. Jesteś baronem Dossenau, jesteś spadkobiercą wielkiego majątku, masz przy sobie serce, które cię kocha...

— Helena możeby wolała, abym dla niej pozostał tym, jakim byłem, biednym Dolmarem.

— I o niej teraz myślisz? Ty, baron Dossenau, myślisz o wiejskiej dziewczynie, córce leśniczego. Zapomnij, zapomnij o tym kaprysie chwilowym, a wróć do mnie, wróć do twej pierwszej miłości. Wiem, wiem, żeś nie zapomniał rusałki, że ją kochasz, a tylko łudzisz się, że owa dziewczyna zdołała w tobie stłumić, zagłuszyć namiętną miłość.

Mówiła tak prędko, tak gorączkowo, że Wolfgang nie zdołał zdać sobie sprawy z tego wybuchu i odpowiedzieć. Zerwał się tylko z miejsca, jak przerażony i już zbierał się na odpowiedź zimną, chłodną, gdy Ellinor rzuciła mu się na szyję i gorącymi pocałunkami twarz, oczy, usta mu pokrywała. Zanim wyrwać się zdołał, przez otwarte okno salonu pada ogromny kamień z ogrodu, przelatuje ponad głowami i tłucze zwierciadło. Ellinor krzyknęła przerażona i schroniła się w kąt salonu, a Wolfgang wychylił się przez okno. W ogrodzie stał Dossenau, groźny, straszny, szyderczy.

Wolfgang zapomniał w tej chwili o rzuconym kamieniu, o groźnej postawie Dossenaua, o syrenich pokusach Ellinory, bo zdało mu się, że to wola Boża sprowadziła brata jego ojca, aby tu, zaraz dowiedział się o całej sprawie, aby się pocieszył wiadomością, że nie jest bratobójcą. Więc ucieszony, rozpromieniony wybiega z odkrytą głową, bez kapelusza, aby Dossenaua zaprosić do salonu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zranienie kandydata na posła.

Namiętna agitacya wyborcza we Lwowie, jaka rozwinęła się tam w ostatnich dniach, osiągnęła kulminacyjny punkt w dniu wyborów. Tłumy agitatorów uwijały się w okolicy ratusza, ściągając leniwych wyborców do głosowania na rozmaitych kandydatów. Przychodziło z tego powodu do rozmaitych zajść, czasem humorystycznych, czasem zaś bardzo smutnych.

Najlepiej świadczy o rozpasaniu agitacyjnem na gruncie lwowskim wypadek, jaki spotkał kandydata na posła dr. Rogera bar. Battaglię, posła do rady państwa i honorowego konsula włoskiego. W dniu wyborów bawił on w lokalu komitetu demokratyczno-narodowego w Rynku. O istnieniu lokalu tego i o tem, że znajduje się w nim spora ilość legitymacyj wyborczych, dowiedziała się partya socyalistyczna, kilku członków jej tedy wpadło do sali, aby legitymacye te odebrać i zni-



Zranienie kandydata na posła: Dr. Roger br. Battaglia.

szczyć. W chwili owej był w sali dr. Battaglia w towarzystwie inżyniera Mokłowskiego i służącego. Socyaliści rzucili się na nich, i w następstwie wywiązała się gwałtowna bójka, w której dr. Battaglia został skaleczony w głowę. Padło też kilka strzałów rewolwerowych z obu stron, na szczęście bez skutku.

Zajście to, rozgłoszone niezwłocznie z rozmaitymi komentarzami, wywarło w całem mieście bardzo wielkie wrażenie.

Nieustaloną jest jednak kwestyą, kto w czasie zajścia tego pierwszy wystrzelił. Ze strony dra Battaglii jest twierdzenie, że pierwsze strzały padły od socyalistów, ci zaś przeciwnie oświadczają, że pierwszy strzał padł z ręki inż. Mokłowskiego. Sprawą całą zajęła się policya i prokuratorya. Kilku uczestników napadu zostało aresztowanych.

Kara za zdradę.

We Francyi, w mieście Tulonie, odbył się niedawno proces o zdradę, przeciw porucznikowi marynarki Ullmo, zakończony skazaniem oskarżonego na dożywotnią deportacyę w któremś z miejsc ufortyfikowanych, na degradacyę wojskową, koszta procesu, a nadto na publiczne ogłoszenie treści wyroku za pomocą afiszów.

Do zdrady, a wskutek tego i do tej śmierci moralnej, doprowadziła zdolnego, lubianego przez kolegów i przełożonych porucznika „piękna Lison“, dama z półświatka, która zamiast ponosić na równi z kochankiem swym ciężar surowej kary, używa rozkoszy życia na balach paryskich, wabiąc w swe sidła nowe ofiary. Tylko publiczność, gromadząca się przed gmachem sądu, manifestowała gwizdaniem swą niechęć ku „pięknej Lison“, gdy ta jako świadek zajeżdżała przed gmach sądu z wyzywającą miną, landem zaprzężonem w parę koni.

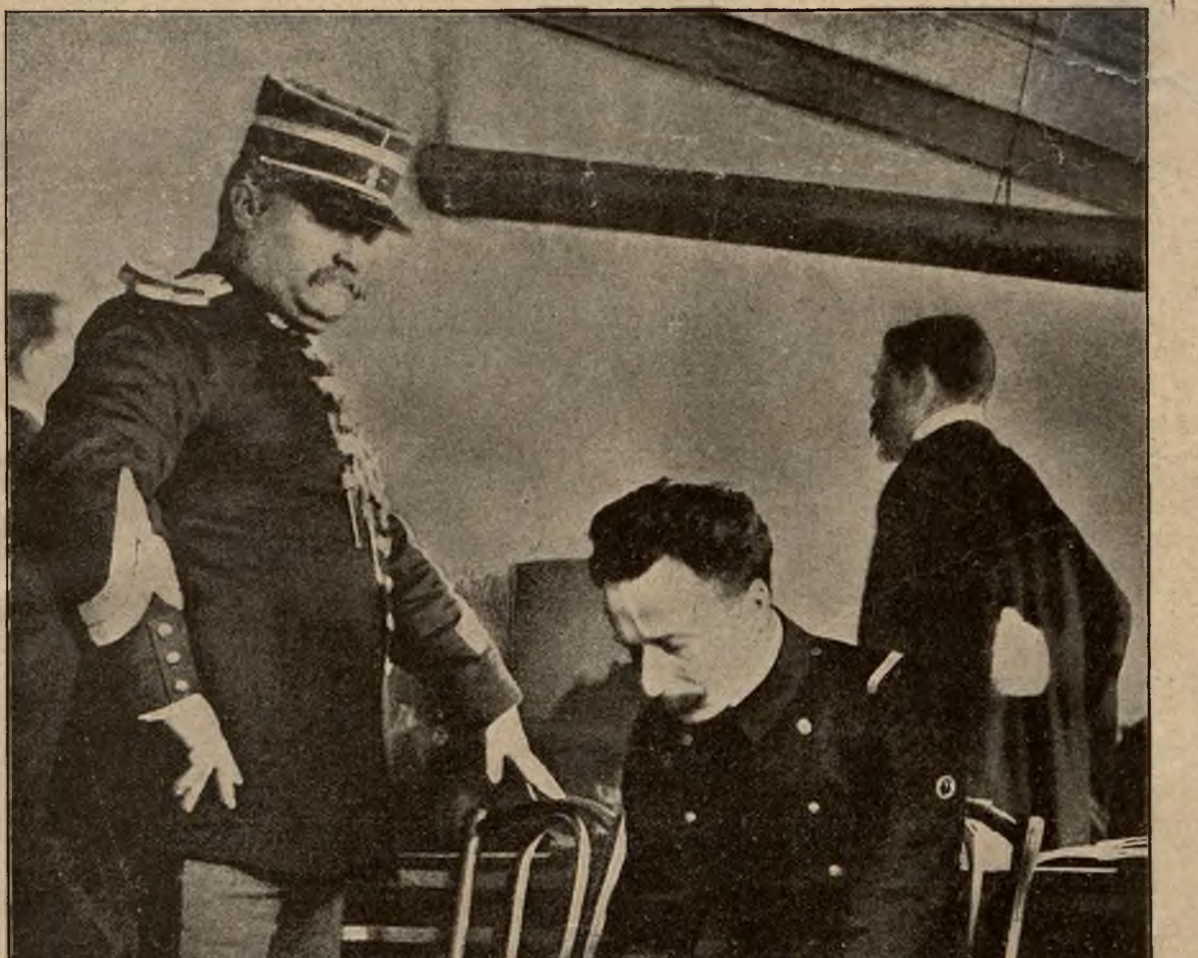
Historya cała, w jaką por. Ullmo dał się uwikłać, sprawia smutne wrażenie, choć nie brak w niej było pięknych momentów miłości. Ullmo, urodzony w Lionie 1882 roku, wstąpił w szesnastym roku życia do szkoły marynarskiej, którą opuścił ze stopniem porucznika. Pilnością i zdolnościami wyrobił sobie opinię doskonałego oficera, tak iż wróżono mu najpiękniejszą przyszłość. Na początku swej karyery spotkał jednak Maryę Ludwikę Welsch, bo tak brzmi nazwisko prawdziwe jego kochanki. Ullmo, skuzynowany z bogaczami paryskimi, uchodził sam za bardzo zamożnego, nie trudno mu też było zdobyć łaski „pięknej Lison“, która zawsze poszukiwała bogatych wielbicieli. Ullmo całym zapałem młodego serca pokochał rozrzutną Lison i w krótkim czasie stracił z nią cały swój majątek. Dla zadośćuczynienia wymaganiom kochanki, próbował Ullmo szczęścia w Monaco, gdzie stracił resztki swej fortuny. — Wówczas chwycił się nikczemnego środka celem zdobycia pieniędzy, bo skradł plany portów francuskich, aby je sprzedać Niemcom. Z powodu zbyt wysokiej sumy, jakiej za nie zażądał, transakcya z rządem niemieckim nie doszła do skutku, wpadł tedy Ullmo na nowy pomysł, a mianowicie plany te chciał odsprzedać swemu rządowi. Propozycyę tę przesłał w liście anonimowym do francuskiego ministra marynarki, sprawa jednak wyszła tymczasem na jaw, a Ullmo został aresztowany.

Rozprawa trwała kilka dni i wykazała w zupełności winę podsądnego porucznika. On sam zresztą przyznał się do niej, prosząc przytem, by sąd uwzględnił, że papiery przez niego skradzione nie dostały się w ręce wrogów Francyi. Okoliczność ta została uwzględnioną.



Kara za zdradę: »Piękna Lison« w sali świadków, w otoczeniu komisarzów policyi.

Dziś cierpi ten oficer i pokutuje ciężko za swą winę, za swą lekkomyślność, za swój występek, do którego popchnęło go uczucie miłości ku niecnej, rozpasanej kobiecie.



Kara za zdradę: Porucznik Ullmo w czasie rozprawy o zdradę przed sądem wojennym

Z TYGODNIA

Dwa akty komedyi wyborczej skończyły się. Akt pierwszy, wybory ludowe, przeszedł bez niespodzianek. We wschodniej Galicyi wybrano po połowie Rusinów i polskich konserwatystów; między 21 Rusinami znajduje się 11 moskalofilów. W Galicyi zachodniej zwyciężyli ludowcy (18 mandatów), reszta głosów padła na konserwatystów (5), centrowców (3). Prócz tego wejdzie z kuryi ludowej do sejmu 3 demokratów narodowych, tyluż demokratów bez przydomka i 3 ruskich radykałów. Naogół wybór pomyślny, spodziewano się bowiem, że Rusini zdobędą kilka mandatów więcej.

O ile pierwszy akt był utrzymany w tonie bądźcobądź poważnym, to akt drugi, wybory z miast, pod względem humorystyki przeszedł najśmielsze oczekiwania. Walka we Lwowie przybrała niebywałe rozmiary. Kłócono się jak za najlepszych czasów; zużyto cały słownik wyborczych wymyślań. Z małym wyjątkiem każdy z kandydatów dowiedział się, że jest skończonym łotrem i zupełnym bezmózgowcem. Do południa zgłosiło się w dzień wyborów do urny już 516 humorystów, którzy oddali głosy p. Dulębiance, wiedząc, że kobiety nie mają prawa wyboru. Nie obeszło się nawet bez epizodu z podkładem tragicznym: kandydat Battaglia został raniony nożem, padły strzały rewolwerowe. Wybrano tylko 3-ch posłów: Głąbińskiego, Ciuchcińskiego i Loewensteina — reszta kandydatów została przy nadziei do dnia powtórnych wyborów. Chrześcijan głosowało przeszło 3000, żydów koło 2000.

Zupełnie inaczej pod względem wyznaniowym wystąpił Kraków i w tem leży smutna humorystyka krakowskich wyborów. Na 3400 wyborców żydowskich stanęło do urny przeszło 2700 tj. koło 80%, a na 6400 wyborców chrześcijańskich zdecydowało się zrobić poświęcenie ze swego czasu 1700—1800, to jest co najwyżej 28%. Wobec tego lista tak zwana demokratyczna, popierana przez ludność żydowską, a obejmująca nazwiska jednego starego demokraty (Bandrowskiego), dwu b. konserwatystów przeszłych, przed 4-ma miesiącami na wiarę demokratyczną (Lea i Federowicza), oraz żyda niezawisłego (Landaua) nie potrzebowała nawet ani jednego chrześcijańskiego głosu, aby odnieść walne zwycięstwo. A ponieważ wyborcy chrześcijańscy, jak zwykle, podzielili się, przeto lista tak zw. demokratów otrzymała już nietylko zwycięstwo, ale święciła wspaniały tryumf. Żydzi jeszcze raz dowiedli niezwykłej solidarności; największi przeciwnicy kandydata dr. Landaua, wrogowie zdawałoby się nieprzejednani, szli głosować za nim, kiedy im powiedziano, że tu idzie o sprawę żydowską, o uchwalenie ordynacyi sejmowej, dogodnej dla żydów i o dalszą wspólną akcyę przy wyborach do rady miejskiej („Tygodnik“, organ żydów niezawisłych, otwarcie tak rzecz postawił). Nawet syoniści, którzy twierdzili do niebiegłego piątku, że ich nic sejm polski nie obchodzi i że żaden nie pójdzie do urny, już nazajutrz, w sobotę, uchwalili gremialnie stawić się w magistracie, aby jak jeden mąż głosować za doktorem Landauem.

Przy opieszałości wyborców chrześcijańskich, przy ich niesłychanej apatyi, niepoczuwaniu się do obowiązków obywatelskich, zostawała tylko jedna rada na uzyskanie odmiennego wyniku. Należało w Krakowie postawić kandydatury ministra Korytowskiego, ministra Abrahamowicza, namiestnika Potockiego i gubernatora banku austro-węgierskiego, dr. Bilińskiego. Tylko takie kandydatury otrzymałyby połowę przynajmniej głosów żydowskich i przemówiły do uczuć „patryotycznych“ sfery urzędniczej, wstrzymującej się od głosowania. Że tak jest, dowodzą wybory w Nowym Sączu i Stanisławowie. W Nowym Sączu wszyscy żydzi (tak w Krakowie liberalni) głosowali za konserwatystą ministrem Korytowskim, który otrzymał 1000 głosów, kiedy jego kontrkandydat, niesłychanie silnie popierany (jak codzień głosiła o tem „Nowa Reforma“) przez wszystkie żywioły demokratyczno-postępowe, otrzymał 200 głosów. W postępowym Stanisławowie gubernator banku austro węgierskiego, konserwatysta Biliński otrzymał również blisko 1000 głosów na 1200 głosujących.

Nieoczekiwany (przynajmniej dla „Nowej Reformy“) rezultat dał wybór w Samborze. Czytaliśmy w tym dzienniku, że kandydata Sobolewskiego na seryo brać nie można, że go na zebraniu przedwyborczem „ledwie wyciągnięto na estradę i usiłowano z niego wycisnąć odpowiedź na kilka interpelacyj — ale kandydat pocił się jak mysz... zaklinał się tylko, że jest mieszczaninem, nie udało się nawet wydobyć z niego, do jakiego należy stronnictwa“. Zdawałoby się więc, że taka pocąca się mysz, taki (według „Nowej Reformy“) niedołęga, nie może mieć szansy wobec „rzeczywiście zdolnego, sympatycznego i zasłużonego b. posła do sejmu dra Tomaszewskiego“. Tymczasem kandydat Sobolewski otrzymał najwięcej głosów i przyszedł do ściślejszego głosowania, ale nie z drem Tomaszewskim, który najmniej miał głosów, lecz z kandydatem Ziemniakiem.

Również zabawnie wypadł wynik wyborów z okręgu Jasło — Gorlice. „N. Reforma“ nieustannie twierdziła, że ks. Pastor zostanie pogrzebany, że skończył swoją karyerę, że niepotrzebnie się fatyguje, bo go nikt nie chce, a wszyscy natomiast chcą mieć posłem p. Zielińskiego. I oto ks. Pastor otrzymał 900 głosów, a niebezpieczny i „pewny“ jego kontrkandydat aż 14.

Wracając do wyborów krakowskich, muszę zaznaczyć, że sprawdziły się moje przewidywania, iż późne ogłoszenie nazwisk kandydatów zapobiegnie stawianiu ich na „cenzurowanem“ i że wskutek tego żaden z nich nie zostanie łotrem, zdrajcą lub kandydatem do czubków. Jedynie dr. Leo musiał odczytywać admonicye przez „Czas“ mu udzielane, które jednak niebardzo go zapewne martwiły, bo między wierszami czytał rozpaczliwą skargę: luby, czemuś mnie opuścił! — tak zdradzona kochanka woła do dawnego adoratora, który przy nowej kochance zapomina o przeżytych z dawną rozkoszach. Trudno się jednak dziwić „Czasowi“ — pozostał nagle biedaczysko bez ludzi, umiejących robić wybory i nie odważył się nawet na postawienie własnych kandydatów. Wprawdzie popierał drugą listę, ale czynił to widocznie *à contre coeur*, z przymusem i nie widać było śladu, aby rozwinął za nimi jakąkolwiek agitacyę. Może chciał, ale nie umiał. Znaczna część wyborców nie wiedziała nawet o istnieniu drugiej listy, nikomu jej nie dostarczono.

Zebrania wyborców (z wyjątkiem żydowskich) były urządzone w ostatniej chwili i cieszyły się brakiem słuchaczy. Co prawda mowy kandydackie już się przeżyły. Czy one bowiem zawsze są potrzebne, czy nie są najczęściej prostą formalnością?

Mowa taka składa się stereotypowo z trzech części: W pierwszej kandydat stara się zaznajomić wyborców ze swoją osobą. Jeżeli jest znany, to szkoda jego wysiłków, a jeżeli nieznany, to chyba niemożliwą jest rzeczą, aby wyborcy go poznali w ciągu kwandransa, który poświęca osobie swojej i swojej działalności. Wyborcy nie mogą odróżnić, gdzie jest prawda, a gdzie *propria laus*. Byłoby zapewne właściwiej, aby ta ocena osoby i działalności z innych ust wypłynęła.

Druga część mowy kandydackiej, to pogląd kandydata na najważniejsze sprawy krajowe, będące na porządku dziennym. Ale z natury rzeczy, wskutek krótkości czasu, niepozwalającego na pogłębienie spraw, kandydat musi traktować je „po łebkach“. Mówi więc o potrzebie uzdrowienia czy regulacyi finansów krajowych, o konieczności poparcia handlu, przemysłu i rękodzieł, o uproszczeniu administracyi, o reformach w szkolnictwie, o niedostatecznem uwzględnieniu praw języka polskiego, o reformie gminnej, o potrzebie rozszerzenia oświaty itd. itd. — i zaręcza, że wszystkie te sprawy uważa za pierwszorzędne i że będzie działał w kierunku pomyślnego ich załatwienia. Ale czy można przypuścić, aby jakikolwiek kandydat, jakiegokolwiek stronnictwa, wobec jakichkolwiek wyborców, oświadczył, że mu nie idzie o sanacyę finansową kraju, że nie będzie dbał o handel, przemysł, rękodzieła, że dość mu już tej oświaty, że ani myśli o wspomnianych wyżej reformach? Nigdy chyba z ust kandydata podobne słowa nie wyszły, ale za to rzadko się widzi, aby owe przyrzeczenia kandydackie, owe liczne obietnice, jakiemi w trzeciej i ostatniej części swej mowy szafuje, w czyn się zamieniły. Wszak posiadamy np. w Krakowie takiego posła, o którym tylko ze słyszenia wiadomo, że żyje, dobrze trawi i bierze dyety poselskie. Ale czy naprawdę żyje, zato ręczyć bym się nie ośmielił.

Co do wyborów, można jeszcze to zauważyć, że... że dość już o nich w dzisiejszym fejletonie.

Gdybym miał „usta stu Homerów“ jeszczebym nie zdołał zdać dokładnie sprawy z najważniejszego, najwięcej omawianego przez nasze dzienniki faktu, jaki się zdarzył w ostatnich dniach w Europie, a którym była reduta prasy w Krakowie. Z opowiadania wiem, że to było coś bardzo nudnego, że „reduty“ właściwie nie było, a została tylko „prasa“ w znaczeniu niesłychanego natłoku — ale czytajcie dzienniki! Jakie w nich zachwyty, jakie poematy o *têtes coiffées*! A jaka reklama przed redutą. Bez przesady, w każdym numerze „Czasu“ i „N. Reformy“ o wywłaszczeniu, o tym strasznym zamachu pruskim, w chwili jego uchwalenia (pomijając telegramy) było dwa razy mniej, niż o reducie prasy. Kretynizm nie do uwierzenia. Można i należy reklamować zabawę na cel pomocy dla dziennikarzy, ale przecież powinna być jakaś granica — przecież nie wolno wobec publiczności wyprawiać błazeńskich harców, niewolno zohydzać dziennikarzy, że są tak bezdennie głupi. A tu granicy nie było — dziennikarzy przedstawiono jako ludzi obojętnych na wszelkie sprawy, mogących w najcięższej dla narodu chwili błaznować dla zdobycia kilku groszy dla siebie, jako blagierów bez konkurencyi, jako żaków ośmieszających swój zawód. Któż bowiem inaczej myśleć będzie (jeżeli ma trochę oleju w głowie), czytając te przesadne i idyotyczne reklamy. Któż się z nich śmiać nie będzie, przeglądając formalne traktaty o *têtes coiffées*, te wspólne w obu pismach artykuły: „Jak reduta prasy wyglądać będzie“ (tu na punkcie błazeństwa pogodzili się przeciwnicy) lub „Inkwizycya na reducie prasy“. Ale może czytelnikom pozakrakowskim nieznane są te żakowskie podrygi? No, streszczać ich nie mogę, niech mi uwierzą na słowo, że najgłupsze brukowe piśmidła wszech krajów i narodów zdystansowane zostały.

Gdyby za każde okazanie braku pięciu klepek sądzono dziennikarzy krakowskich, mógłby ich spotkać taki wyrok, jakiego żądał niedawno w Berlinie prokurator oskarżający właściciela biura adresowego za dostarczenie koło 40000 kopert dla loteryi duńskiej. Loterya ta jako zagraniczna jest zakazaną w Prusiech, a kara za namawianie do jej trzymania wynosi od 8 dni do 3 miesięcy aresztu lub 100—1500 marek. Otóż prokurator uważając dostarczenie każdego adresu za osobne przestępstwo obliczył, że oskarżonemu, uwzględniając okoliczności łagodzące, wypada zapłacić po 200 marek za adres, to znaczy 8 milionów marek, lub odsiedzieć 1461 lat i dni 35. Sąd obawiając się, aby oskarżony nie chciał odsiadywać 1461 lat, uznał, że popełnił on tylko jedno przestępstwo i skazał go na 3 miesiące więzienia lub 1500 marek.

I jeszcze jedna wiadomość. Przy ostatnich wyborach w Krakowie ubiegał się o mandat.. Kościuszko. Jeżeli nie wierzycie, to przeczytajcie sobie świeżo wydaną satyrę K. Bartoszewicza p. t.: „Kościuszko kandyduje!“ Znajdziecie w niej dosadną satyrę stosunków i stronnictw krakowskich.

Kącik humorystyczny.

Lucidum intervallum.

Przy łożu nieprzytomnego pacyenta pyta lekarz stroskanej małżonki jego:

— Kiedy chory po raz ostatni odzyskał przytomność?

Żona (płacząc): Przed godziną! Powiedział wtedy... że... że... pan konsyliarz na niczem się nie rozumie... i pod żadnym warunkiem nie chciał zażyć lekarstwa, które mu pan doktór zapisał...

Między przyjaciółkami.

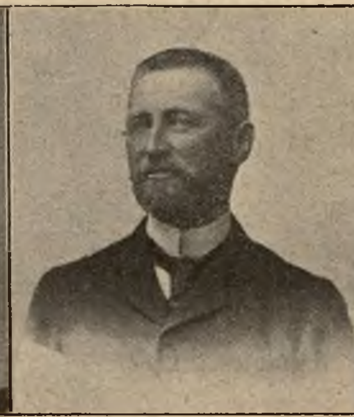
Pierwsza: Czy mąż pani jest numizmatykiem?
Druga: Nie, proszę pani! On jest *astmatykiem*.

Nowi posłowie sejmowi.

Kurya gmin wiejskich.


Andrzej hr. Potocki.


Stanisław hr. Badeni.


Tadeusz Cieński.


Artur Zaremba-Cielecki.


Stanisław hr. Mycielski.


Franciszek hr. Zamoyski.


Witold ks. Czartoryski.


Tadeusz Czarkowski-Golejewski.


Jerzy hr. Baworowski.


St. Henryk hr. Badeni.

Okres wyborczy do nowego — niewątpliwie ostatniego kuryalnego — sejmu dobiega do końca. Wyniki dotychczas przeprowadzonych wyborów w kuryach wiejskiej, miejskiej i izb handlowo-przemysłowych, dają podstawę i możność przedstawienia jak najdokładniejszego obrazu przyszłego sejmu, oraz rozkładu w nim sił i stronnictw politycznych, kurya większej własno[illegible]em odda prawie wszystkie mandaty reprezentantom kierunku konserwatywnego.

Pierwszym, znamiennym bardzo objawem i następstwem tych wyborów jest potężne osłabienie wszechwładnej dotąd w sejmie galicyjskim partyi konserwatywnej. Hasło reformy wyborczej na podstawie powszechnego głosowania, której zasadniczymi przeciwnikami są nasi konserwatyści, a której domagają się dziś głośno i dobitnie szerokie warstwy społeczeństwa, spowodowało w pierwszej linii tę doniosłą zmianę wyniku wyborów. Strata kilkunastu mandatów, w Galicyi zachodniej na rzecz stronnictwa ludowego, w Galicyi wschodniej na rzecz Rusinów, odebrała partyi konserwatywnej dotychczasową bezwzględną większość. Z wybitnych przedstawicieli tego stronnictwa weszli do sejmu z kuryi gmin wiejskich: namiestnik Andrzej hr. Potocki, marszałek St. hr. Badeni, prezes Rady narodowej Tadeusz Cieński, prezes tow. Kółek rolniczych Artur Zaremba-Cielecki, prezes tow. rolniczego Zdzisław hr. Tarnowski, b. namiestnik Leon hr. Piniński i prezes tow. kredytowego ziemskiego Władysław Kraiński. Z młodych konserwatystów zasiędą w nowym sejmie Jerzy hr. Baworowski i Henryk hr. Badeni, syn marszałka kraju, ten ostatni po raz pierwszy wybrany. Tak samo po raz pierwszy otrzymali z konserwatystów w tej kuryi mandaty: prof. dr. Antoni Górski, Witold ks. Czartoryski, Aleksander hr. Skarbek i Władysław ks. Sapieha.

Drugim bardzo charakterystycznym i bardzo donosłym objawem świeżo przeprowadzonych wyborów, jest ogromny wzrost stronnictwa ludowego. Z nieznacznego klubiku, liczącego zaledwie cztery


Dr. Antoni Górski.


Aleksander hr. Skarbek.


Tadeusz Wrześniowski.


Ks. Stanisław Stojałowski.


Jan Stapiński.


Dr. Szymon Bernadzikowski.


Dr. Franciszek Stefczyk.


Andrzej Kędzior.


Wiktor Skołyszewski.


Dr. Jan Wasung.


Kazimierz Jampolski.


Franciszek Ptak.


Dr. Michał Korol.


Dr. Józef Hanczakowski.


Dr. Eugeniusz Oleśnicki.

Kurya miast.


Dr. Kost' Lewicki.


Dr. Jan Kurowiec.


Stanisław Ciuchciński.


Dr. Natan Loewenstein.


Dr. Stanisław Głąbiński.

posłów, powstanie w nowym sejmie silny ilościowo i jakościowo klub, który w pracach tego sejmu może i powinien odegrać wybitną rolę.

Prócz przywódców swych i posłów do rady państwa, Stapińskiego i Bojki, prócz zastępu dzielnych włościan, z Franciszkiem Ptakiem na czele, wprowadził on do sejmu cały szereg wybitnych jednostek z inteligencyi, uzdolnionych fachowo w rozmaitych gałęziach wiedzy. Jest między nimi lekarz, dr. Szymon Bernadzikowski, jeden z najzasłużeńszych i najsympatyczniejszych członków stronnictwa, jest znawca spraw melioracyjnych, dyrektor Kędzior, jest wybitny ekonomista, dr. Franciszek Stefczyk, jest leśnik, inżynier Skołyszewski, wreszcie agronom, dr. Jan Wasung, najmłodszy co do wieku w nowej Izbie poseł.

Równorzędnie z wzrostem stronnictwa ludowego uderza upadek centrum, oraz partyi ks. Stojałowskiego. Pierwsze, prócz przywódcy ks. Pastora, wprowadziło do sejmu zaledwie trzech swych zwolenników, druga ma w nim tylko swego twórcę, ks. Stojałowskiego. I tylko ci dwaj posłowie będą reprezentowali w sejmie kler łaciński.

Bardzo znamiennym jest także wynik wyborów w Galicyi wschodniej, nietyle ze względu na podniesienie się liczby mandatów ruskich o sześć, ile ze względu na walne zwycięstwo stronnictwa staroruskiego, czyli moskalofilskiego nad ukraińcami. Fakt ten — o ile nie jest jedynie następstwem pośrednich i jawnych wyborów — dowodziłby bankructwa szowinistycznej, na nienawiści do wszystkiego co polskie opartej, polityki stronnictwa ukraińskiego. Stronnictwo staroruskie ma w nowym sejmie dotychczasowych wybitnych członków dr. Korola i dr. Hanczakowskiego, obok nich zaś szereg nowych z dr. Dudykiewiczem na czele. Ukraincy weszli w mniejszej liczbie, nietylko ilościowo, ale i jakościowo. Wybitnymi jej przedstawicielami są tam tylko dr. Oleśnicki i nowi posłowie dr. Kost' Lewicki i dr. Kurowiec.

Wynik wyborów z kuryi miejskiej jest mniej więcej zgodny z poprzednimi wyborami. Bardzo


Dr. Juliusz Leo.


Dr. Ernest Bandrowski.

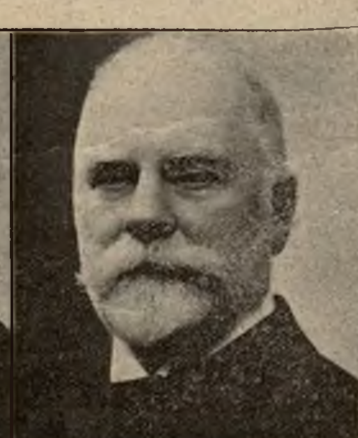

Jan K. Federowicz.


Dr. Ignacy Landau.


Franciszek Maryewski.


Dr. Witold Korytowski.


August Gorayski.


Dr. Leon Biliński.


Dr. Alfred Halban.


Ks. Leon Pastor.



Emil Michałowski. Dr. Ferdynand Maiss. Dr. Franciszek Doliński. Jan Kleski.

Kurya izb handlowo-przemysłowych.



Dr. Filip Fruchtman. Dr. Stanisław Schätzel. Dr. Henryk Kolischer. Józef Sare. Dr Stanisław Rittel.

znaczna część mandatów pozostała w ręku dawnych posłów, nowi zaś przedstawiają przeważnie ten sam materyał polityczny, co ich poprzednicy. Na szczególniejszą uwagę zasługują wybory w Krakowie, zakończone świetnem zwycięstwem listy demokratycznej, mimo niedługiej i wcale spokojnej agitacyi. Pod tym ostatnim względem wybory we Lwowie przedstawiały zupełnie inny obraz. Skutkiem też niesłychanie namiętnej agitacyi pierwszy dzień wyborów przyniósł zwycięstwo tylko trzem kandydatom, co do drugich trzech odbyć się musiał wybór ściślejszy. Z miast prowincyonalnych cztery oddały mandaty konserwatystom, ministrowi Korytowskiemu Nowy Sącz, gubernatorowi Banku austro-węgierskiego Stanisławów, A. Gorayskiemu Sanok-Krosno i prof. dr. Alfredowi Halbanowi Drohobycz.

W kuryi Izb handlowo-przemysłowych zmiana zaszła tylko w Izbie brodzkiej, gdzie wybranym został sekretarz tej Izby dr. Rittel. We Lwowie i Krakowie oddano mandaty dotychczasowym posłom dr. Kolischerowi i inżynierowi Saremu.

* * *

Poświęcając wyborom sejmowym, najdonioślejszemu dziś wypadkowi politycznemu w naszym kraju, poważną część numeru, zamieszczamy portrety większości posłów z trzech kuryi, rozpoczynając od kuryi gmin wiejskich. Są tam portrety najwybitniejszych posłów, przedstawiających roz-



Aparatem redakc. Wł. L.

Ogłoszenie wyniku wyborów z miasta Krakowa na wspólnem posiedzeniu wszystkich sekcyi wyborczych pod przewodnictwem r. Beringera (X) i komisarza rządowego Studzińskiego.

maite odcienie polityczne obu narodowości, są dalej posłowie, wchodzący po raz pierwszy do sejmu. Zamieszczamy dalej zdjęcie fotograficzne, dokonane w sali krakowskiej rady miejskiej, w chwili gdy członkowie dziewięciu sekcyi wyborczych obliczyli na wspólnem posiedzeniu, pod przewodnictwem radcy Beringera i komisarza rządowego Studzińskiego ostateczny wynik głosowania w Krakowie i ogłosili zwycięstwo listy demokratycznej, wreszcie zdjęcie fotograficzne ze Lwowa, przedstawiające sytuacyę w Rynku pod ratuszem w pierwszym dniu wyborów.

W następnym numerze zamieścimy szereg dalszych portretów poselskich, w szczególności z miasta Lwowa, ponieważ w chwili zamknięcia tego numeru wynik wyborów tamtejszych nie był znany.

* * *

Zamykając na tem uwagi o minionych wyborach do sejmu zauważyć należy, że wypadły one na ogół pomyślnie dla sprawy narodowej i dla sprawy demokratycznej, o ile to przy dzisiejszej ordynacyi wyborczej było możliwe. Nowy sejm, wybrany pod hasłem zmiany przestarzałej, kuryalnej ordynacyi wyborczej i rozszerzenia prawa głosowania na najszersze koła społeczeństwa, ordynacyę taką niewątpliwie uchwali, co tem łatwiej będzie można przeprowadzić, iż stronnictwo konserwatywne, najbardziej takiej reformie przeciwne, nie będzie już mogło zmajoryzować reszty członków sejmu. I o ile lewica nowego sejmu postępować będzie konsekwentnie i solidarnie, kwestya dalszego zdemokratyzowania tego ciała prawodawczego, doczeka się pomyślnego rozwiązania.



Fot. J. St.

Sytuacya pod ratuszem na rynku we Lwowie w pierwszym dniu wyborów.

Olbrzymi wyścig.

Odjazd samochodów, biorących udział w wyścigu z Nowego Jorku do Paryża, zorganizowanym przez redakcyę paryskiego dziennika „Matin“ do spółki z amerykańskim „New-Jork-Times“, przybrał formę uroczystości sportowej.

Punkt zborny naznaczono w Broadway, w najruchliwszej arteryi Nowego Jorku, wśród drapaczów nieba, które symbolizują niejako potężny rozrost miast amerykańskich. Przeszło trzysta tysięcy osób cisnęło się na trotuarach ulic, by oklaskiwać prawdziwie wszechświatowych sportsmenów, jacy do olbrzymiego wyścigu się zgłosili.

Sześć samochodów stało już gotowych do drogi: wielki i ciężki, jak furgon wojskowy, niemiecki automobil „Protos“, prowadzony przez porucznika Koeppena; dalej lekki amerykański „Thomas“, włoski „Züst“, wreszcie trzy francuskie samochody „de Dion“, „Motobloc“ Godarda i „Suzaire Naudin“.

W południe nastąpił odjazd ze startu. Sygnał dano strzałem z rewolweru. W tej chwili poczęły się szybkim tempem posuwać startujące samochody, a za nimi długim szeregiem około trzysta samochodów, które eskortowały ścigających się sportsmenów aż do Tarrytown, na przestrzeni przeszło czterdziestu pięciu kilometrów.

Zaraz na początku drogi okazały się trudności z powodu śniegu, którego wysokość wynosiła w niektórych miejscach aż trzy metry; przytem z powodu zawiania szos podróż odbywa się wśród niezwykłych trudności, tak iż przeciętna chyżość samochodów nie przenosi trzydziestu kilometrów na godzinę. W stanie Indyana droga stała się jeszcze uciążliwszą, zwłaszcza że termometer spadł na ośmnaście stopni niżej zera. Narazie więc podróż cała odbywa się bardzo powoli a sportsmeni skazani są na częste przymusowe odpoczynki, podczas których ludność miejscowa sprawia im nadzwyczaj owacyjne przyjęcia i udziela wszelkiego rodzaju pomocy.



Olbrzymi wyścig: Samochody, biorące udział w wyścigu Nowy Jork-Paryż, otoczone tysiącami publiczności i kilkuset samochodami, w chwili startu w Broadway.

Państwo Sosnowscy.

Od szeregu lat są dzielną podporą i chlubą sceny krakowskiej. Ona znakomita wykonawczyni



Władysława Ordon-Sosnowska

ról lirycznych, on niezrównany w rolach bohaterskich, a wielce zasłużony jako reżyser. Oboje też cieszą się równorzędnem a jednogłośnem uznaniem krytyki i ogromną sympatyą wśród publiczności krakowskiej i wśród kolegów.

Na scenę krakowską przybyli równocześnie, zaangażowani z teatru lwowskiego, już jako siły pierwszorzędne, z wyrobioną opinią i bogatym repertuarem. I jedno i drugie zdobyli w czasie ciężkiej, pełnej cierni pracy w trupach prowincyonalnych, pracy, do której sił dodawało im tylko szczere i głębokie umiłowanie sztuki.

Pani Władysława Ordon-Sosnowska łączy na scenie wielką szczerość i wdzięk wrodzony z dużą inteligencyą i znajomością środków techniki aktorskiej. Ujmująca powierzchowność, ruchy wytworne, głos miły i dźwięczny, dopełniają całości doskonałych warunków. Jestto indywidualność artystyczna niepospolita, wybijająca się świetnemi swemi kreacyami na pierwszy plan zespołu. Kreacyj tych ma dziś p. Ordon-Sosnowska w swym repertuarze bardzo wiele, tak że niepodobnaby było nawet najwybitniejszych wymienić. Wszystkie są skończone, wyborne, czy gra damę salonową, czy prostą dziewkę. Bo talent jej jest iskrą Bożą.

Pierwszorzędne stanowisko w szeregu polskich artystów dramatycznych zajmuje także pan Józef Sosnowski. Artysta całą duszą, obdarzony wielką intuicyą, a przytem głębokiem wykształceniem i znajomością literatury. Kreacye jego, zwłaszcza w zakresie bohaterskim, mają wiele siły i akcentów istotnie dramatycznych, trzymane są jednak zawsze w tonie pełnym miary prawdziwie artystycznej i wolne od wszelkiej szarży. Postawa wspaniała, a organ głosu potężny i podatny, dają mu nadzwyczajne warunki zewnętrzne. Jako reżyser ogromnie inteligentny, pomysłowy i pracowity, uczestniczy w tej dobrej sławie, jaką cieszy się dziś scena krakowska.



Józef Sosnowski.

Z lwowskiego bruku.

(Kociokwik karnawałowo-wyborczy. — Koniec, który się urwał. — Nasze ostatki, czyli sceny z Riwiery. — Popsuta zabawa pana barona. — Śmierć na posterunku i zmartwychwstanie. — Skombinowane przekonania. — Wesoły kandydat. — Hyeny się oblizują. — Nareszcie! — Ogólny kacenjamer i popielec.).

Ogólny „kacenjamer...“ Po zabawie. Po karnawale. Po wyborach. Stolica leży w łóżku, przykłada zimne okłady na głowę i jęczy... Niebo w dodatku rozpłakało się cienkiemi strugami łez, roz pacz. błoto, wilgoć i melancholia.

Hm! A hulało się panie dobrodzieju, hulało. Jakże to było? Gdyby nie ta głowa... Stolica maca się po niej z niedowierzaniem. Głowa jest! To już dobrze... W takich niebezpiecznych czasach... A więc, jakże to było? Te ostatki...

Lwów dawno już nie miał takich „weneckich“ zapustów. Jak pisałem, zeszły mu się nieszczęśliwie oba końce: karnawału i okresu wyborczego. Ten drugi jednak był silniejszy i przetrzymał konkurenta. Już, już myśleliśmy, że we wtorek będziemy mogli się oddać całą duszą „ostatkom“, zalewać lub oblewać zwycięstwa wyborcze i godnie pożegnać karnawał, gdy popsuła nam humor komisya wyborcza, wzywając naród lwowski jeszcze raz do zabawy w środę. Tak więc koniec, któryśmy chwytali już w poniedziałek, znów nam uciekł do kłębka, ku większemu zadowoleniu handelków, przedsiębiorstw redutowych i hyen wyborczych.

Lwów też wyglądał w dniu wyborów jak jakieś włoskie miasto w karnawale. Włoskość tę podtrzymywał specyalnie nasz honorowy włoski konsul p. baron Battaglia ze swoim oryginalnym orszakiem przybranych w skórę hyen wyborczych zauszników. Pan baron w myśl swego wojowniczego nazwiska stoczył walną batalię z robotnikami, którzy chcieli mu przeszkodzić w zabawie kupowania kart legitymacyjnych. Także dzika pretensya! Każdy ma prawo się bawić, jak mu się podoba, zwłaszcza za drogie pieniądze. Był to najoczywistszy zamach na cudzą własność — skąd bowiem socyaliści przychodzą do wydzierania setek kart legitymacyjnych, nabytych za cudze pieniądze? Czystość wyborów?... Jakżeby w takim wypadku mógł pan baron zostać posłem? Włoskość poniedziałku podtrzymał pan baron i w dalszym ciągu. Ze swej makaronowej ojczyzny przyniósł bowiem rewolwer i komedyanctwo. Wypukawszy więc parę razy z rewolweru do powały (zawsze to panie tego bezpieczniej w ścianę... a nuż? sądy itd.), zalany krwią, bez przytomności, z rozłupaną czaszką, chwiejąc się na nogach pobiegł do ratusza pokazywać się w salach... i omdlał, gdzie był największy napływ wyborców i najsłabsze szanse wszechpolskiej listy. Ostatnie słowa umierającego były: „zamówcie telefonicznie paski w drukarni“. I zamknął oczy. Zmartwychwstał jednak, gdy się wieczorem dowiedział, że ma przeszło 1000 głosów. O żyje u nas jeszcze prawdziwa myśl narodowa.

W salach, maleńkich gabinecikach magistrackich odbywały się prawdziwie zapustne sceny. Wyborcy, jak popielcowe śledzie w beczkach, duszeni z tyłu natłokiem głosujących, a z przodu... wpływem panów komisarzy, grubych ryb, a nawet kandydatów, pletli czasem jak na mękach. Wychodziły z tej podwójnej prasy najrozmaitsze wesołe kombinacye — wyborca we środku „porządny chłop“ dawał i dyabłu świeczkę, głosując np. tak: „Ciuchciński, Rydygier, Hudec, Głąbiński“, albo „Dulębianka, Battaglia, Wasung“ i trzy miejsca próżne. Sam pan poseł Głąbiński na pierwszem miejscu siebie wymienił, tłómacząc się, gdy na sali powstał śmiech, że musi przecie głosować na prezesa Koła polskiego.

Wesołym, zapustnym kandydatem był pan Wasung. Gdy poczuł „pismo nosem“, mianowicie że pisma dobierają się do gruntu kandydatów — cofnął pospiesznie swoją kandydaturę. Dopiero w sobotę i niedzielę, gdy już prawie żaden dziennik nie wychodzi, puścił gwałtowną reklamę na konto swojej osoby. Afisze na murach, na tramwajach, na krzakach, na chodniku, na łopatach, kartki kolportowane po wszystkich kawiarniach i restauracyach — w dniu zaś wyborów kolosalne płachty w rynku, jak bramy tryumfalne, witające spieszących do urny wyborców. Pan Wasung otrzymał 400 głosów — i to dobra reklama dla jego kancelaryi adwokackiej. Tylko wesoło!

O procederze technicznym wyborów trudno pisać. „Panowie komisya“ traktowali nas jako kawałki w namiestnictwie: powoli, to się wszystko załatwi. W jednej sali system odbierania głosów zmieniano kilkanaście razy, pan przewodniczący co chwila miał genialny jakiś wynalazek. Skutek był ten, że głosowano do godziny 1-szej w nocy, skrutynium zaś ukończono o 6 tej rano.

W środę mieliśmy skrócone wydanie poniedziałku. Z powodu deszczu i końca karnawału, który zapędził „porządniejszych“ wyborców do łóżka — głosowały przeważnie narodowe hyeny, które bardzo sobie chwalą obecny tydzień.

A więc... Już! Stolica odetchnęła... Spadł jej straszny ciężar z serca: sześciu synów będzie teraz za nią myślało w pałacu koło ogrodu jezuickiego. Odpoczywa z kociokwikiem. A mają go wszyscy: narodowi demokraci, którzy myśleli szturmem zdobyć wszystko dla siebie — p. Dulębianka, której 500 głosów unieważniono — kandydaci „na własną rękę“, którzy drogo zapłacili za tę zabawę — no i postępowa koalicya też się bez niego nie obeszła.

O naiwni! Chcieli walczyć z narodową demokracyą na zgromadzeniach, w prasie i w opinii... To za mało. Bo panowie wszechpolacy postarali się tylko... o walizkę legitymacyi Ta rozstrzyga.

Jerzy Gips.

Sumienność.

Czystość serca i uczciwość,
To zaiste rzecz najlepsza,
Dam wam tutaj przykład mały:
Pewien cygan ukradł wieprza.

„Wieprz - stworzonko bardzo miłe,
„Rzecz to jest ogólnie znana,
„A słoninka rzecz wyborna
„I nietylko dla cygana!“

Tak to Lajosz rozumował,
Kiedy przez wieś szedł rozdrożem,
Aż dopadłszy do chlewika,
Pchnął młodego wieprza nożem.

Kontent, że go nikt nie widział,
(Tak przynajmniej mu się zdało)
Z okazałym swoim łupem,
Do chałupy wraca śmiało.

Gdy wytopił sadło właśnie,
Delektując się zapachem,
Sąsiad dobry — Istwan stary,
Zjawia się pod jego dachem.

Lajosz, choć się zmieszał nieco,
Ale w uśmiech skrzywił usta —
I rzekł do Istwana tylko:
„A co! jaka świnka tłusta!?“

„Tak! tak! znam ją osobiście.“
Dobry Istwan odpowiada.
„Tak, biedaczka żyła w chlewie
„Do niedawna, u sąsiada“.

„Co?“ — zawołał Lajosz z gniewem.
„Śmiesz zarzucić mi ohydę?“
„Skradłeś świnię“ — krzyknie Istwan.
„Zaraz z tem do wójta idę...!“

„Zresztą powiem ci — ktoś trzeci,
„W nocy śledził cię ukradkiem,
„On już zrobił doniesienie,
„A ja będę tylko — świadkiem!...“

„Przyjacielu!“ rzecze Lajosz.
„Już zapłacę wódkę, piwo,
„Ale zlituj się nademną
„I przysięgnij w sądzie — krzywo!

„Dam ci za to trzy talary,
„Trzy (wiesz jakie ciężkie czasy!)
„A w dodatku z tego wieprza,
„Dam ci jeszcze trzy kiełbasy!

„Abyś poznał moje serce“
Istwan na to odpowiada.
„To już wezmę trzy talary,
„Jako sąsiad od sąsiada.

„I przysięgnę w sądzie krzywo,
„Byś miał szczęście na początek,
„Lecz kiełbasy ani nie tknę,
„Bo to grzech!... Wszak dzisiaj piątek!...“

Kruk.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Zygmunt Gaudnik, Stary Sącz.

Pierwszej i *trzeciej* nie braknie nikomu,
Znajdziesz ją nawet w najuboższym domu.
Drugiego z czwartem lubię, gdy jest przy mnie,
Gdy podróżuję, a zwłaszcza już w zimie.
Pierwsze, drugie i *trzecie* to dzielni druhowie,
Znani tak na prowincyi, jak u nas w Krakowie.
Trzecie i *czwarte* to zaleta całości.
Co często wzbudza płomienie miłości
Całość ma jeszcze i inne znaczenie,
Której to widok uprawia w zachwycie,
Nietylko swoich, lecz i obcych gości,
Tyle przeróżnych mieści wspaniałości.

Logogryf.

Ułożył Henryk Markiewicz, Krościenko nad Dunajcem.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, by początkowe litery wyrazów, czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko poety polskiego, zaś końcowe czytane z dołu do góry tytuły dwóch jego utworów.



Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Rumunii. 2. Dawna nazwa wielkiej Brytanii. 3. Mąż, którego Bóg wśród potopu pozostawił. 4. Urządzenie do rozprowadzania ciepła po domach. 5. Ozdoba w sztuce architektonicznej. 6. Nazwisko założyciela liceum Krzemienieckiego. 7. Środek odurzający. 8. Rzeka w Szwajcaryi. 9 Postać mitologiczna. 10. Roślina 11. Inaczej pojazd. 12. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 13. Instrument muzyczny. 14. Roślina lekarska wspominana w piśmie św.

Zagadka.

Z następujących sylab ułożyć dziesięć wyrazów, tak aby początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół utworzyły imię, nazwisko i tytuł dzieła poety polskiego: a, a, bel, ce, e, gi, hy, ia, ko, lymp, na, na, nas, ni, nie, nów, o, o, py, ros, sin ski, tum, uk.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasteczko w Galicyi. 2. Owoc południowy. 3. Człowiek niewykształcony. 4. Hetman kozacki. 5. Góra w Grecyi. 6. Bogini rolnictwa 7. Nazwa nauki medycznej. 8. Imię biblijne. 9. Minerał. 10. Rodzaj obwarowania.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy Żeromskiego: »Opowiadania«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 8.

Szarada I.

Kochawina.

Szarada II.

Kanapa.

Zagadka I

Jaki pan, taki kram.

Zagadka II.

Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci.

Zagadka III.

Tadeusz Kościuszko, Racławice, Dubienka.

Logogryf.

Trafiła kosa na kamień.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: F. Niepokój Krosno, R. Jaworski Kraków, L. Złochowski Zaleszczyki, B. Ramułtowa Jeżów, K. Fuchs Czeremchów, J. Podobińska Rawa ruska, Z. de Boulangé Gawłówek, J. Diehl Lwów, J. Pieniążek Zürich, Ks. Siengalewicz Bełełuja, J. Małek Przemyśl, R. Czaplicki Lwów, E Wieczorkowa Kraków, W. Zielińska Kraków, J. Gomulińska Bóbrka, A. Bocsoń Bóbrka, Słapecki Strzyżów, H. Markiewicz Krościenko, C. Fijałkiewicz Lwów, J. Budkiewicz Sucha, K. Jasiński Kraków, M. Małaczyński Pikułowice, H Pawłowska Bóbrka, J. Biegoń Sucha, A. Bogdalska Koropuż, H. Chodkiewicz Warszawa, M. Rożański Libusza, Z. Fudko Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. Z. de Boulangé, Gawłówek. Prosimy o nadesłanie 35 h na koszta przesyłki.